



rys. Jerzy Karcz
Na wyższy stopień

STANISŁAW ALBINOWSKI

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE



KLONDIKE NASZYCH CZASÓW



Bez żadnej przesady można stwierdzić, że nie ma wśród nas nikogo, kto by nie marzył, kto — mając w kieszeni maturę — nie snułby wielkich planów dokonania czegoś wspaniałego, czegoś co zadziwi świat cały, a przynajmniej najbliższe otoczenie. Ten banalny, jakby się zdawać mogło, fakt naszych marzeń natrafia jednak na bynajmniej niebanalne przeszkody: jak zrealizować te marzenia?

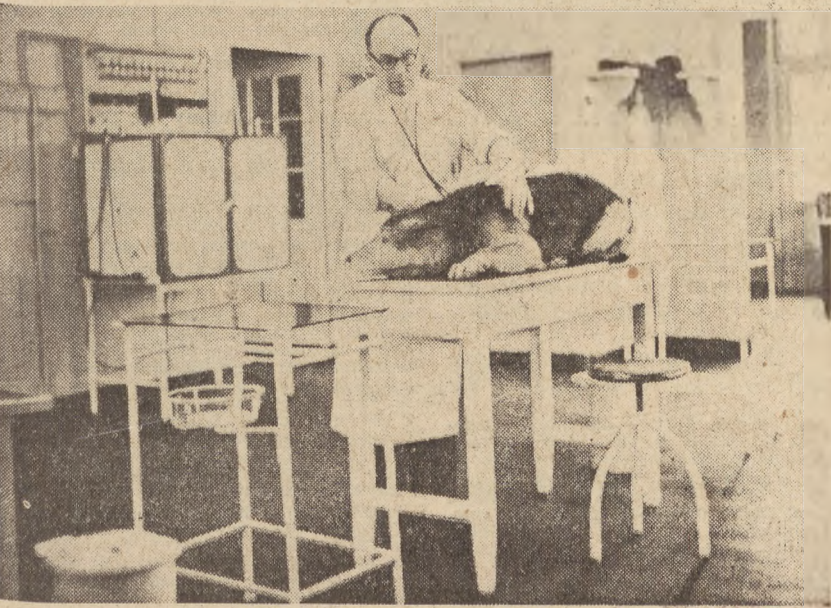
Ameryka już odkryta, energia atomowa wynaleziona, Mount Everest zdobyty. Z podziwem, ale i pewną... urazą patrzymy na naszych wielkich „konkurentów”, którzy nas ubiegli. Im więcej wiemy, im szerzej jest nasza wiedza, tym mniej się wydają się nasze własne „szanse” na dokonanie czegoś epokowego, a trudności realizacji tych planów — tym większe.

Dobrze jest, naturalnie, zdawać sobie sprawę z trudności osiągnięcia wymarzonego celu, ale jeszcze lepiej jest obrać sobie cel najbardziej realny. Bo choć zapewne wielu z nas spędzi swe życie w laboratoriach techniczno - naukowych wielkich zakładów przemysłowych i na międzynarodowych konferencjach, to jednak jasne jest, że nie każdy zostanie Edisonem czy Kowalowym. A pokutuje wśród nas mocno zakorzeniony przesąd, że tylko w przemyśle, że tylko w mieście można „czegoś” dokonać. I ten pogląd zamyka nam często, drogę do osiągnięcia ogromnych sukcesów w innych dziedzinach życia społecznego.

Wywodzi się ten przesąd z dawnych, bardzo dawnych lat. Jeszcze

Na fermie Złotnickiej dba się o zwierzęta. Najmłodsze pokolenie świni „złotnickiej” dobrze się czuje na wybiegu.

Przyjęcia zwierząt w ambulatorium przy katedrze zoologicznej i weterynarii WSR są jednocześnie pokazami dla studentów.



chłopi rzymscy, rujnowani przez rozpustnych panów, porzucali swe radla i powiększając szeregi lumpenproletariatu szukali „chleba i igrzysk” w mieście na siedmiu wzgórzach rozpostartym. W średniowieczu wiadomo było wzmieć i wobec, że tylko „miejskie powietrze czyni człowieka wolnym”, że wieś — to nieludzka pańszczyzna i bat ekonoma, to nędza i grób za życia. A w nowszych czasach — czyż nie mówią o tym samym wędrowki naszych Bartków po ocean w poszukiwaniu złotodajnego Klondike czy te „skromniejsze” — na saksy, do kopalń francuskich, lyońskich fabryk, hut Ruhry lub do

osławionego COP-u? I nie to, że chłop ginął z głodu u wrót kapitału, że jedynie w marzeniach wracał na ojcowiznę z pończochą dolarów. Wytworzyło się przekonanie, nieugięte jak chłopskie umiłowanie ziemi, że wieś to katorga, że tylko w mieście jest życie i przyszłość. Było ono słuszne tylko w jednej połowie. Rzeczywiście, wieś w społeczeństwie klasowym była terenem najokrutniejszego wyzysku, strumą w pól zwierzęcej wegetacji, gdzie nie docierała kultura ani higiena, gdzie ciężka, mordercza praca rzucała przedwcześnie niszczą człowieka. Druga połowa tego przekonania była jednak wówczas niesłuszna: również w mieście nie było życia dla człowieka pracy i dlatego właśnie wybuchła rewolucja społeczna, która zmioła z ziemi wyzyskiwaczy i stworzone przez nich instytucje ucisku, która założyła podwaliny ustroju sprawiedliwości społecznej.

Czyż potrzeba udowadniać, że ktoś kto obecnie postępowalby w myśl dawnych poglądów, które wobec zmian materialnych warunków życia stały się dziś przesadą, byłby podobny do człowieka unikającego podróży koleją, ponieważ 50 lat temu obawiano się tego środka lokomocji? Naturalnie, porównanie to nie jest zupełnie ścisłe. W zestawieniu z miastem wieś jest jeszcze u nas zafana, i to bardzo, ale chyba zgodzić się, że sens tego porównania jest słuszny. Dzięki polityce władzy ludowej wieś nasza nadrabia milowymi krokami swe zafanie i to nowe trzeba widzieć. Po to uczylimy się przeciw dialektyki, by umieć ją w codziennym życiu stosować, po to, by była naszym orężem w walce o lepszą przyszłość. A jeśli tak, to to nowe trzeba nie tylko widzieć. Trzeba również aktywnie pomagać w jego rozwoju. Właśnie wieś i rolnictwo nasze to obecnie jeszcze dziewiczy wprost teren dla zastosowania najprzeróżniejszych wynalazków i u-

Oto np. pracownicy PGR w Nowym Dworze zbudowali wg własnego pomysłu „pychacz do siana, który zastępuje pracę 6 ludzi oraz jedną parę koni. Powiesz, że to mała rzecz... Tak Ci się tylko zdaje. Oblicz bowiem wszystkie korzyści tego usprawnienia, a zresztą — ktoś broni Ci dokonać większego? Wiesz przecie, że rolnictwo czeka na nowe maszyny i konstruktorów, którzy je zbudują.

Oto toczy się walka o wzrost plonów. Czyż nie chcesz zostać jednym z krzycieli twórczego darywinizmu? Czyż nie pasjonuje Cię myśl Mieczysława, że na dary przyrody nie można czekać, że trzeba je zdobywać?!

Oto największe autorytety naukowe głowią się nad zagadnieniem wzrostu produktywności hodowli, nad rozwiązaniem problemów me-

lioracyjnych, itd. itd. Czyż nie chcesz swym twórczym wkładem wzbogacić naszej wiedzy w tych wszystkich dziedzinach?!

Można by tu przytaczać wiele cyfr, całe szeregi wskaźników rozwoju rolnictwa, które przedstawił narodził II Zjazd Partii. Nie będziemy tego tu czynić, gdyż zakładamy, że je znacie. Należy je tylko dobrze zrozumieć, a wtedy w świetle zadań stojących przed rolnictwem zobaczymy w całej pełni jego potężne perspektywy, to znaczy nasze perspektywy. Cóż może być bardziej zaszczytnego od dźwigania postępu, od przekształcania oblicza wsi i ludzi ją zamieszkujących, od zastępowania pracy człowieka pracą maszyn (których mamy coraz więcej), od ujarzmiania przyrody. Gdzież znajdziemy teren bardziej odkrywczej, twórczej działalności, której rezultaty widać niemal natychmiast, rezultaty, na które patrzyć i których oczekuje cały kraj.

Perspektywy są wspaniałe. Ale czy wystarczą tylko ujrzyć je, by już wstąpić na studia rolnicze, by już zdecydować się na pracę w rolnictwie? — Jasne, że nie. Na ten porywający lecz trudny odcinek pracy nie pójdzie wygodniś. Życie na wsi nie jest jeszcze lekkie i wygodne. Zawiera wiele jeszcze trudności. Ale ktoś ich się boi, ktoś w imię przeszkód rezygnuje ze swych celów? Jasne, że tylko ciamałda, paniczek, wygodniś.

Chybaś Przyjacielu, czy chcesz osiągnąć w życiu tylko wygodę? Odpowiada Ci to? Z oburzeniem twierdzisz, że nie. A zresztą popatrz: wszędzie były na początku trudności, nieraz stokroć większe od tych, które czekają Cię na wsi dziś, po 9-ciu latach władzy ludowej. Czy mógłbyś skończyć szkołę, powiedzieć, w Warszawie, gdyby Twoi starsi towarzysze szukali wygod?

(Dokończenie na str. 2)

„Cuda” w złotnickiej fermie

Na malej, ukrytej w drzewach stacji — Złotniki, gdzie (jak zwykle na małych stacjach) czas płynie nieco sennie, panował tego dnia niezwykły ruch i hałas. Długi, leniwy pychający parą pociąg zapelniał pasażerowie — nie tyle krzykliwi ile... chrząkający. Z otwartych drzwi wagonów wychylały się świnki, duże, grube i łśniące od czystości, wszystkie odznaczające się jednakową maścią; białą skórą nakropioną gęsto czarnymi plamami.

Zaladowano paszę, wodę i pociąg ruszył. List przewoźowy głosił: „...transport z Zakładu Doświadczalnego — Złotniki, WSR — Poznań do gospodarstwa... woj. olsztyńskiego”.

Piękne, rasowe okazy „świni złotnickiej” walczyły tą samą drogą i do tego samego miejsca, z którego w 49 r. zostali przywiezieni ich przodkowie — prymitywne, gospodarskie sztuki trzody chlewnej.

PRACA
PROF. ALEKSANDROWICZA

Studenti III r. poznańskiej WSR dobrze znają drogę do fermy Złotnickiej należące do ich uczelni. Wędrują nią często na ćwiczenia z hodowli szczegółowej; jesienią po szeleszczących liściach, wiosną, pod gościnnym cieniem wysokich drzew. Wokół ciągną się polećka doświadczalne, pastwiska i łąki należące do ich uczelni. Trzeba jeszcze jednak przejść przez całą wieś, aby dojść do najważniejszego w Złotnickich miejsca — do chlewni, obór i stajni.

Nie są to zwyczajne chlewnie, obory i stajnie, ale olbrzymie laboratoria, gdzie na żywych organizmach przeprowadzane są niesłychanie ważne, pasjonujące prace naukowe-badawcze i doświadczalne.

Zbliżamy się do chlewni. Na obszernej wybiegach baraszkują różowo-czarne prosięta, zwinne jak pieski. Nie chce się wierzyć, że w czasie krótszym niż rok staną się podobne do matki — ocieżałej i grubej maciory, śledzącej tymczasem małymi oczkami, co też robią jej pociechy. Tymczasem pociechy biegają pędem po słomnej drabinie, na balkonie, gdzie pracownicy fermi stawiają korytka smakowitego jada. Ponieważ znajdujemy się w „krajnie dziwów”, mgr Domański, kierownik fermy, opowie nam, że szalas, przed którym stoimy, jest najnowocześniejszym modelem świńskiego mieszkania — ciepłego, przewiewnego, z oknami, którego nie wolno przypadek nazwać chlewnią, a właściwie szalasem.

Opracował go prof. Aleksandrowicz, ten sam uczony, który już od 6 lat poświęcił się zagadnieniu wy-

szej gospodarce — doszedł dawno temu do wniosku ten wielki uczony — po prostu jest taka trzoda chlewnia, która w surowszych warunkach da doskonale, pierwszego gatunku szynki, kielbasy i słoninę.

Osiągnięcia zamierzonego celu wymagało wiele trudu. Profesor wraz ze swoimi asystentami i pomocnikami przepracował niejedną noc, niejedną niedzielę zamiast w swoim mieszkaniu spędził w fermie Złotnickiej. Budował świniom różnego rodzaju pomieszczenia — chlewnie holenderskie, sterty, szalasy, budki, dawano różnego rodzaju jedzenie — pożywnie, ale jak najtańsze, mierzono, ważono i kapano. Aż wreszcie po tych i wielu innych zabiegach — doszły prymitywne świnki — przemieniły się po paru pokoleniach w okazy — rasowej „świni złotnickiej”, doskonale tuczącej się, pokrytej włosiem, który będzie można wykorzystać w przemyśle, zdrowej, odpornej na surowe warunki klimatyczne.

OFIARY LOCZKÓW

Któż z kobiet nie chciałaby mieć piękniejszego i ciepłego futra, np. karakulów? Niestety, smużki, czyli skóry tego zwierzątka są bardzo drogie i niemal niedostępne dla studentek, rozporządzających raczej skromnym budżetem. Ale studentki zootechniki mają tę przewagę nad innymi, że mogą się przyczynić do potaniania „karakulów”.

W fermie Złotnickiej niepoślednie miejsce zajmuje owczarnia, prowadząca prace naukowo-badawcze aż w 4 kierunkach. Główna uwaga jednak jest skierowana na hodowlę owcy karakulowej, o włosie zwijającym się w miękkie loczki. Takie loczki mają zresztą tylko nowonarodzone jagniątko. Po kilku dniach — włos się wydłuża, traci fałdistość i tym samym — powodzenie u eleganek. Nim nadejdzie ten przełomowy moment — jagniątko trzeba zabić.

Hodowla karakulów jest niesłychanie kosztowna, gdyż dorosła owca rodzi na rok zaledwie 1 jagnię.

(Dokończenie na str. 7)



Egzamin maturalny to niemałe przeżycie, pozostawia on w pamięci niezatarty ślad. Kto chce by wspomnienie o nim było jak najbardziej przyjemne — musi przedtem mocno przysiedzieć fałdów. Takiego zdania są również maturanci Szkoły TPD nr 1 na Żoliborzu w Warszawie, których zastaliśmy przy stole zavalonym wprost książkami i zeszytami. Jeśli ten przedmaturalny zryw poprzedziła długoletnia wyteżona praca, to o wynik egzaminu możemy być spokojni! A po wakacjach — spotkamy się na studiach!

(Foto A. Marczak)

Maturzyści piszą do redakcji

DROGA REDAKCJO!

Tak już jest, że gdy mamy się na coś zdecydować, coś postanowić — przed decyzją namyślamy się zazwyczaj długo, rozważamy wszystkie „za” i „przeciw”. Ileż to godzin zastanawiamy się niekiedy, czy odpowiednim dla nas materiałem na sukienkę będzie jedwab w groszki, czy też w kwiatki — czerwone na zielonym tle lub właśnie odwrotnie. Jeżeli więc decyzja w sprawach małych, codziennych wymaga tylu rozważań — o ileż więcej trzeba głębokich wprost rozmyślań, długich godzin rozmów z samym sobą, by zdecydować się na wybór najpoważniejszej w życiu sprawy — zawodu.

My, to znaczy — Jadwiga Filipek, Janina Wrońska, Józefa Oraczewska i Helena Majchrowicz — uczennice XI klasy szkoły im. Unii Lubelskiej w Lublinie, mamy te długie godziny rozważań już po za sobą. Zdecydowałyśmy się: będziemy zootechnikami. O tej właśnie decyzji chcemy napisać do POPROSTU — naszego przyszłego pisma. Co skłoniło nas do wyboru studiów zootechnicznych?

Wszystkie pochodzimy ze wsi. Toteż od dawna (gdy jeszcze nie wiedziałyśmy, co oznacza słowo zootechnika) postanowiłyśmy w przyszłości pracować na wsi. Zdarzałyśmy sobie jednak sprawę, że przede wszystkim trzeba się uczyć i to przedmiotów przyrodniczych. Szczególnie dopisywało nam, bo biologię, chemię, fizykę polubiłyśmy najbardziej.

Rolnictwo — myślałyśmy nieraz — jakże różnorodnych kwalifikacji wymaga, ileż to zawodów znajduje w nim zatrudnienie. Wszystkie, a szczególnie już Jada od dzieciństwa przejawiałyśmy zamiłowanie do zwierząt. Cieszyły nas żółte kuleczki-kurczaki, z radością patrzyłyśmy na pędzącego połem młodego żrebaka, no i oczywiście, każda z nas miała swego kota i psa. Być może, że właśnie to wyniesione z dzieciństwa zamiłowanie wpłynęło na wybór kierunku studiów.

Stykając się na codzień ze sprawami wsi, widziałyśmy niedociągnięcia w hodowli, ucimy dobrze ile tutaj jest do zrobienia. Zapoznając się z materiałami II Zjazdu, rozumiłyśmy, że od pracy fachowców rolnictwa w poważnej mierze zależy obfitość produktów rolnych dostarczanych przez wieś krajowi.

Śięgnęłyśmy do informatora na wyższe uczelnie, wiedziałyśmy bowiem tylko tyle, że na lubelskim UMCS jest wydział zootechniczny. Po dokładnym przestudiowaniu informatora, po rozmowach z dyrektorem naszej szkoły, po jego wyjaśnieniach i zachęcaniach — zdecydowałyśmy się. Będziemy więc zootechnikami, jeśli oczywiście zdamy najpierw maturę, a potem egzamin wstępny na wyższą uczelnię.

Niedawno odwiedził nas student IV roku UMCS kol. Januszeński. Długo rozmawiał z nami na temat obranego przez nas kierunku studiów. Gruntownie i obszernie wyjaśniał nam, jakie zadania i możliwości ma w swej pracy zootechnik. Trzeba przyznać, że dopiero po dyskusji z kol. Januszeńskim doszłyśmy do mocnego przekonania, że wyboru obranego przez siebie kierunku studiów nie będziemy żałować.

Bardzo niedobrze się stało, że w naszej szkole poprzednio nikt nie przeprowadził takiej pogadanki na temat studiów zootechnicznych. Być może, zachęcaliby do tego kierunku studiów więcej koleżanek z naszej szkoły. Bo w okresie, gdy dobrobyt całego narodu zależy od podniesienia na wyższy poziom rolnictwa, a więc m. in. produkcji zwierzęcej — być zootechnikiem, dbać o jak najbardziej racjonalną hodowlę, osiągając jak najlepsze rezultaty, tworzyć jak najbardziej wydajne odmiany zwierząt — to prawdziwy zaszczyt.



Helena Majchrowicz



Janina Wrońska



Jadwiga Filipek

Kol. Januszeński z UMCS kocha swój zawód i potrafi zapalić do niego innych.



FRANCO ROSSI
(Korespondencja
własna
z Rzymu)

7 cóż dalej?

Opuuszczając kilka lat temu mury uniwersytetu mediolańskiego z dyplomem w kieszeni, ja i Ludwik, jeden z moich dobrych przyjaciół z młodzieńczych lat, z którym zetknąłem się powtórnie na ławie uniwersyteckiej po ciężkich latach wojny, myśleliśmy, że cały świat należy teraz do nas. Jakież to plany snuiliśmy wówczas, tego pięknego, lipcowego wieczoru, siedząc przy winie w starej „traktorii”.

— Dobrze! Wreszcie — mówiliśmy sobie. — Koniec z egzaminami i wykładami. Teraz dopiero zacznie się życie!

Pamiętam, Ludwik powiedział mi, że jestem pesymistą, kiedy rozumując na zimno i starając się wybiec poza usprawiedliwioną euforię owego wieczoru, rzuciłem takie pytanie: Dobrze! Wreszcie, dobrze, ale do czego?

Dzisiaj, w dniach, kiedy tysiące młodych ludzi, takich jak my wówczas, przygotowuje się do opuszczenia ław uniwersyteckich, aby wejść w życie i rozpocząć poszukiwanie tego, czego mój przyjaciel Ludwik, pełen werwy i zapału lekarz, mimo swego optymizmu jeszcze nie znalazł, przychodzi mi na myśl wszyscy ci koledzy, którzy po krótkotrwałym szale radości z powodu uzyskania dyplomu, stana przed pytaniem: i co dalej?

To dramatyczne pytanie przesłuchuje zapytały tysięcy młodych, dwudziestokilkuletnich absolwentów wyższych szkół we Włoszech. Poszukujących pracy, a jednocześnie brzmii ono jak potępienie dla społeczeństwa, które nie jest już w stanie wyczerpać swych dzieci do produktywnego życia, zapewnić im perspektywę i przyszłość.

„Mówi się — pisał kiedyś jeden z włoskich młodzieżowych przy-

wódców demokratycznych — że każde pokolenie posiada swoje charakterystyczne znamiona, odróżniające je od poprzednich pokoleń. Myślę, że pierwszą cechą charakterystyczną pokolenia wchodzącego dopiero na scenę życia w obecnych Włoszech rządzonych przez klerikałów jest to, że nie ma dla niego miejsca w produktywnym życiu narodu. Setki tysięcy młodzieży, która dopiero co wchodzi w życie, znajduje przed sobą wszystkie drogi zamknięte”.

Ta gorzka rzeczywistość wyraża się najlepiej w cyfrach, suchych i martwych, ale jakże bardzo wymownych. W roku akademickim 1951 — 1952 mieliśmy 35.678 studentów na wydziałach prawa, 32.274 na wydziałach medycznych, 32.170 na wydziałach matematyczno-fizycznych, 14.000 na wydziałach inżynierskich. Ta masa przyszłych absolwentów nie widzi przed sobą żadnych perspektyw pracy po uzyskaniu dyplomu, nie widzi żadnej perspektywy w kraju, gdzie na 46 milionów mieszkańców jest 3 miliony bezrobotnych, w tym ponad 677 tysięcy stanowią młodociani, a wśród nich poważna część, bo 120 tysięcy, to absolwenci szkół wyższych, poszukujący zatrudnienia po raz pierwszy w życiu.

W tej tragicznej sytuacji, w jakiej znajduje się młodzież włoska, trudno nie wspomnieć o jeszcze jednym czynniku, który zaciemnia dzisiejszą rzeczywistość. Mam na myśli strukturę włoskiej szkoły. Z roku na rok nabiera ona coraz to bardziej widocznych cech ogólnego kryzysu narodowego. Stała się jedną z tych instytucji narodowych, w której najbardziej raziąco uderza przywilej klasowy. Ostatnie dyspozycje odnośnie opłat uniwersyteckich są tego niezbitym dowodem. Tysiące studentów (ponad 10 tysięcy na samym tylko uniwersy-

tecie w Neapolu, a ponad 50 tysięcy w całym kraju), zmuszonych zostało do porzucenia studiów. Ich rodziny nie są w stanie pokryć sumy 50 tysięcy lirów miesięcznie, potrzebnej na opłacenie czesnego, na życie, na mieszkanie. A książkę? Podręcznik uniwersytecki kosztuje zwykle od 3 do 5 tysięcy lirów, a często, jak np. na wydziałach technicznych, osiąga fantastyczną cenę — 20 tysięcy lirów!

Ostatnio na jednym z uniwersytetów we Włoszech Południowych została przeprowadzona anketa, która dała przerażający obraz. Około 80 proc. studentów nie jest w stanie zakupić koniecznych podręczników. Około 3 proc. bywa od czasu do czasu w teatrze. Zaledwie 2 proc. studentów bywa w operze.

Jeden z uczonych włoskich zajmujący się problemami młodzieży napisał niedawno w związku z powyższymi zagadnieniami: „W ten sposób powstaje i rozwija się średnia klasa intelektualistów drobnomieszczańskich, rutynowych urzędników, klasa pozbawiona żywych i twórczych impulsów”.

Większość absolwentów szkół wyższych włącza się, jak szeregi pobitego wojska, w tryby maszyny codziennej rutyny, która oddala ich stale od tego świata, o jakim marzyli, siedząc na ławach szkolnych.

Z tej panoramy smutnej rzeczywistości można by wnioskować pesymistycznie, że młodzież studentów Włoch jest bierna i apatyczna, że znajduje się w stadium kryzysu, z którego nie da się jej już wyciągnąć. Tak twierdzą niektórzy włoskie pisma burżuazyjne.

Nie, młodzież włoska jest w całości zdrowa i uczciwa! „Od wielu

Na „jedynkę”!

Już pierwsze doniesienia prasowe i meldunki korespondentów były jednomyślne: rzeczywistość przeszła wszelkie zamierzenia. Co prawda i same projekty były zakrojone na gigantyczną skalę. Około 700 tysięcy młodych dziewcząt i chłopców z całych Niemiec miało gościć Berlin w dniach 5 — 7 czerwca. Na te bowiem dni został zwołany przez Radę Centralną FDJ („Wolna Młodzież Niemiecka”) II Zlot Młodzieży Niemieckiej. Decyzja ta, która zapadła 25 października 1953 r., była długo oczekiwana przez naszych młodych przyjaciół z Odry i Łaby. Zbyt wiele energii nagromadziło się w gorących sercach patriotów, walczących o jedność Niemiec, o pokój. A gdzie — jak nie na takim spotkaniu — można lepiej wyrazić swe umiłowanie ojczyzny, nienawiść do adnaurow, radość życia, jednym słowem — niezłomną wolę walki o szczytną przyszłość, walki aż do zwycięstwa!

Uczucia te znalazły wyraz — rzecz jasna — nie tylko w manifestacjach, pochulkach i przemówieniach podczas Złotu. To było już tylko „podsumowaniem”. Zlot poprzedziły długie miesiące wyjątkowej pracy i walki. Do Berlina młodzież nie przyjechała z pustymi rękoma.

Wraz z kolegami z „Marxhütte” czy spółdzielni produkcyjnej im. Waltera Ulbrichta (wymieniamy je tylko przykładowo), do przedzłotowego czynu przystąpił student NRD. IV Zjazd SED (Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności) powstał przed nimi jako główne zadanie podniesienie poziomu naukowego. Wyniki sesji miały być kryterium, kto jest godny uczestniczyć w Zlocie. Przybyła nań naturalnie kol. Renata Dassow z Uniwersytetu im. Humboldta w Berlinie, która wszystkie egzaminy zdała na „jedynkę” (tzn. tak jak u nas na „piątkę”). Przybyło tysiące jej kolegów i koleżanek, którzy najwyższymi wynikami w nauce powitali Zlot.

Również młodzież Niemiec zachodnich, która mimo bezwzględności terroru i szyskan ze strony polityki bońskiej wystąpiła na Zlot 25 tysięcy swych przedstawicieli, wzmogła napięcie prowadzonej przez siebie walki. U boku starszych towarzyszy młodzież ta kroczyła w szeregach potężnej manifestacji, nie bacząc na to, że Adenauer kul nie żałuje, że w każdej chwili może wśród nich paść nowy Phillip Müller — współbojownik tego, który przed dwoma laty, w przedmroku Festiwalu Berlińskiego został zamordowany w Essen.

Zbliżał się Zlot. Poprzedził go zakończony 4 czerwca Zjazd Młodzieży Niemieckiej, który przyjął uchwałę o utworzeniu Ogólnoniemieckiego Komitetu Młodzieży. Zadaniem jego będzie pogłębianie współpracy między różnymi organizacjami młodzieżowymi całych Niemiec.

Aż wreszcie nadszedł dzień 5 czerwca. Tylko jedna dziesiąta część przybyłych na Zlot mogła zająć miejsca na stadionie im. Wal-

tera Ulbrichta. Rozpoczyna się defilada sportowców. Potem wbiega na stadion ogólnoniemiecka sztafeta pokoju. Entuzjazm dobiega szczytu, gdy wicepremier Ulbricht kończy przemówienie stwierdzeniem: „Młodzież z całych Niemiec na swym II Zlocie żąda kategorycznie pokoju dla Niemiec i zbiorowego bezpieczeństwa w Europie”.

Słowa te znajdują potwierdzenie w postawie 700 tysięcy młodych Niemców, którzy następnego dnia — w niedzielę 6 czerwca — defilują przez 9 godzin przed Wilhelmem Pieckiem, Walterem Ulbrichtem, Erichem Honneckerem (przewodniczącym Rady FDJ), członkami władz NRD oraz delegacją zagranicznych. A trzeba pamiętać, że te 700 tysięcy defilujących, to przedstawiciele milionów. Bije z tej manifestacji siła niezłomna, bije też optymizm i ogromna radość życia.

Znajduje ona wyraz w sętkach zabaw, występach artystycznych, pokazach akrobatycznych i rozgrywek sportowych, których widzami, a nierzadko i uczestnikami, są delegaci na Zlot. Jeszcze w niedzielę sala Opery Państwowej w Berlinie trzęsie się od oklasków, którymi młodzi Niemcy nagradzają występ polskiego zespołu tanecznego „Dzieci Warszawy”. W poniedziałek, 7 czerwca, gospodarzem Berlina jest młodzież. Przeciągają przez miasto korowody, wszędzie odbywają się jakieś imprezy, bufety, bary, kioskiki są obłożone (upał, upa!), a w parkach i na skwerach co krok widać grupy roześmianej, to znów poważnej młodzieży. O czym rozmawiają — nie trudno się domyśleć — o tym, co stanowi treść II Złotu.

Aż wreszcie nadszedł dzień 5 czerwca. Tylko jedna dziesiąta część przybyłych na Zlot mogła zająć miejsca na stadionie im. Wal-

tera Ulbrichta. Rozpoczyna się defilada sportowców. Potem wbiega na stadion ogólnoniemiecka sztafeta pokoju. Entuzjazm dobiega szczytu, gdy wicepremier Ulbricht kończy przemówienie stwierdzeniem: „Młodzież z całych Niemiec na swym II Zlocie żąda kategorycznie pokoju dla Niemiec i zbiorowego bezpieczeństwa w Europie”.

Słowa te znajdują potwierdzenie w postawie 700 tysięcy młodych Niemców, którzy następnego dnia — w niedzielę 6 czerwca — defilują przez 9 godzin przed Wilhelmem Pieckiem, Walterem Ulbrichtem, Erichem Honneckerem (przewodniczącym Rady FDJ), członkami władz NRD oraz delegacją zagranicznych. A trzeba pamiętać, że te 700 tysięcy defilujących, to przedstawiciele milionów. Bije z tej manifestacji siła niezłomna, bije też optymizm i ogromna radość życia.

Znajduje ona wyraz w sętkach zabaw, występach artystycznych, pokazach akrobatycznych i rozgrywek sportowych, których widzami, a nierzadko i uczestnikami, są delegaci na Zlot. Jeszcze w niedzielę sala Opery Państwowej w Berlinie trzęsie się od oklasków, którymi młodzi Niemcy nagradzają występ polskiego zespołu tanecznego „Dzieci Warszawy”. W poniedziałek, 7 czerwca, gospodarzem Berlina jest młodzież. Przeciągają przez miasto korowody, wszędzie odbywają się jakieś imprezy, bufety, bary, kioskiki są obłożone (upał, upa!), a w parkach i na skwerach co krok widać grupy roześmianej, to znów poważnej młodzieży. O czym rozmawiają — nie trudno się domyśleć — o tym, co stanowi treść II Złotu.

ST. AL.

Klondike naszych czasów

(Dokończenie ze str. 1)

A Ty dziś mówisz, że trudno byłoby Ci się rozstać ze stolicą. Jest piękna i z każdym rokiem piękniejsza. A czy wiesz jak wyglądała zaraz po wojnie? — Ja wiem. Również 9 lat temu stanąłem na prawym brzegu Wisły, mniej więcej koło dzisiejszego mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Wtedy był tam „pontoniak” a w jego perspektywie — morze gruzów. Wyglądało to tak, jakby ktoś Starówkę przepuścił przez jakiś hiper-młyn. I dlatego, jeśli mnie dziś spytasz, czy w PGR jest błoto, odpowiem: tak, ale jednocześnie dodam, że 9 lat temu na Starówce też nie było chodników. Ze Starówką wędrowałem spalonym Krakowskim Przedmieściem do centrum. Na Wilczej leżał jeszcze rozbity „Tygrys” i trzeba było dobrze uważać, by nie „spotkać się” z cegłą, spadającą z rozbitych murów. A jednak w pobliżu obecnego MDM zobaczyłem firankę w oknie, zawieszonym gdzieś w zrubach, trzecim piętrze. I o tym pomyśl, jeśli przeraża Cię, że w Twoim mieszkaniu na wsi nie będzie wody bieżącej — ciepłej i zimnej. A gdy — zastanawiając się nad trudnościami życia na wsi — zapytasz o teatr, przypomnie Ci pionierską pracę artystów warszawskich, którzy sami usuwali gruz ze scen i łatali dachy, by móc zacząć grać. Czyż Tobie nie będzie łatwiej poprowadzić pracę kulturalną?

Nie będę prowadził dalej porównań. Reszta sam już sobie dopowiesz, gdyż nie ulega dla nikogo wątpliwości, że wieś polska wkroczyła na drogę rozkwitu. A Twoją jest rzeczą, by jej w tym dopomóc.

STANISŁAW ALBINOWSKI

W miejscowości St. Petersburg (w Stanie Floryda, USA) dnia 2. lipca 1951 r., kobieta nazwiskiem Mary Reeser siedziała samotnie w fotelu. Tej nocy była silna burza z piorunami i błyskawicami. Rano w izbie znaleziono w kącie czaszkę ludzką skurczoną do wielkości filiżanki, jedną spękaną z fotela i stopę właścicielki — nie naruszoną, w czarnym pantofelku.

Jakież może być wyjaśnienie tajemniczego zniknięcia tej kobiety? Zanim spróbujemy rozwiązać tę zagadkę — przypomnijmy sobie o równie „tajemniczej”, choć na pozór zupełnie innej historii.

„LATAJĄCE TALERZE”

Pamiętamy wszyscy, jak to przed kilku laty rozszysły się po świecie wiadomości o „latających talerzach”. Nad różnymi miejscowościami w Stanach Zjednoczonych pojawiały się na niebie błyszczące tarcze, poruszające się nierzadko z bardzo wielką szybkością. „Ucieczka” talerzy przed pościgiem samolotów sprawiała wrażenie, iż ma się tu do czynienia z pojazdami kierowanymi przez ludzkie istoty.

W Ameryce wysunięto wtedy przypuszczenia, że są to rakietywce statki przysyłane dla celów wywiadowczych przez jakieś wrogle mocarstwo, dysponujące już wysoką techniką rakietową. Był to chyba jedyny wypadek w dziejach ludzkości, że niezbadane zjawisko przyrody stało się obiektem gry politycznej i posłużyło do propagandowych celów w „zimnej wojnie”.

TRAGICZNY POŚCIG

Sprawa latających talerzy nabrała jednak tragicznego posmaku w wypadku kapitana Mantella. Dnia 7 stycznia 1948 r. w pobliżu lotniska Godman Field dostrzeżono na niebie świecący obiekt w kształcie dysku, który leciał w stronę lotniska na wysokości około 3500 metrów. Przez lotniskę można było dostrzec czerwone plomienie wystrzelające zeń na boki. Pomiar średnicy wydał wynik ponad 150 metrów.

Właśnie wtedy wysoko pod niebem krążyła trójka samolotów bojowych pod dowództwem kapitana Mantella. Za chwilę usłyszano przez radio głos kapitana: „Odkryłem obiekt. Wygląda, jakby był z metalu. Zaczyna wznosić się. Ma tylko połowę mejszkości. Spróbuję podejść doń bliżej”. Po pewnym czasie usłyszano znów Mantella: „Obiekt jest dalej na- de mną i ma nieco większą szybkość od mojej. Podejdę na 9000 metrów. Jeżeli nie udam mi się zbliżyć, poniecham pościg”.

Były to jego ostatnie słowa. Niebawem przysłyły wiadomości, że strzępy samolotu znaleziono rozrzucone opodal na dość dużym terenie. Można było jedynie stwierdzić, że samolot kapitana uległ straszliwej eksplozji.

CZYBY POJAZDY Z INNYCH PLANET?

Po tragicznym wypadku z kapitanem Mantellem utworzono komisję złożoną z rzeczoznawców z różnych dziedzin wiedzy i techniki celem zbadania całego kompleksu „latających talerzy”. Komisja po zbadaniu kilkuset świadectw miała podobno wydać orzeczenie stwierdzające, że latające talerze nie są ciałami niebieskimi, lecz mechanizmami, ale nie pochodzącymi z naszej planety.

Ukazywanie się podobnych zjawisk na niebie znane jest od wielu lat. Dlatego prawdopodobnie powstała również wersja, iż Ziemia jest pod obserwacją mieszkańców innej planety. Owe „latające talerze” miałyby być pojazdami rakietowymi o napędzie oczywiście atomowym. Katastrofa, jakiej uległ samolot Mantella, byłaby wynikiem działania tajemniczych promieni, wyrzucanych przez latający talerz na ścigający go samolot.

ZDANIEM BENEDICKSA...

Innego jednak zdania jest Benedicks — szwedzki uczony o uniwersalnych wiadomościach (astrologia, fizyka, chemia itp.). Jest on twórcą śmiałej i niezwykle fascy-

nującej teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Właśnie wtedy wysoko pod niebem krążyła trójka samolotów bojowych pod dowództwem kapitana Mantella. Za chwilę usłyszano przez radio głos kapitana: „Odkryłem obiekt. Wygląda, jakby był z metalu. Zaczyna wznosić się. Ma tylko połowę mejszkości. Spróbuję podejść doń bliżej”. Po pewnym czasie usłyszano znów Mantella: „Obiekt jest dalej na- de mną i ma nieco większą szybkość od mojej. Podejdę na 9000 metrów. Jeżeli nie udam mi się zbliżyć, poniecham pościg”.

Były to jego ostatnie słowa. Niebawem przysłyły wiadomości, że strzępy samolotu znaleziono rozrzucone opodal na dość dużym terenie. Można było jedynie stwierdzić, że samolot kapitana uległ straszliwej eksplozji.

CZYBY POJAZDY Z INNYCH PLANET?

Po tragicznym wypadku z kapitanem Mantellem utworzono komisję złożoną z rzeczoznawców z różnych dziedzin wiedzy i techniki celem zbadania całego kompleksu „latających talerzy”. Komisja po zbadaniu kilkuset świadectw miała podobno wydać orzeczenie stwierdzające, że latające talerze nie są ciałami niebieskimi, lecz mechanizmami, ale nie pochodzącymi z naszej planety.

Ukazywanie się podobnych zjawisk na niebie znane jest od wielu lat. Dlatego prawdopodobnie powstała również wersja, iż Ziemia jest pod obserwacją mieszkańców innej planety. Owe „latające talerze” miałyby być pojazdami rakietowymi o napędzie oczywiście atomowym. Katastrofa, jakiej uległ samolot Mantella, byłaby wynikiem działania tajemniczych promieni, wyrzucanych przez latający talerz na ścigający go samolot.

ZDANIEM BENEDICKSA...

Innego jednak zdania jest Benedicks — szwedzki uczony o uniwersalnych wiadomościach (astrologia, fizyka, chemia itp.). Jest on twórcą śmiałej i niezwykle fascy-

nującej teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

gość błyskawic wynosi nieraz od 20 do 50 kilometrów, różnice potencjałów dochodzą do setek milionów woltów, a natężenia prądu w iskrze oblicza się na 20 do 100 tysięcy amperów.

Znacznie rzadszym zjawiskiem niż błyskawice „liniowe” są błyskawice ty-

nujące teorii naukowej, która za jednym zamachem rozwiązuje dwa zagadnienia: problem kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy. Mianowicie jedno i drugie,

CZCICIELE OGNI

„należy zapewnić:

a) dalszy rozwój hutnictwa, a zwłaszcza wzrost produkcji stali specjalnych i wyrobów walcowanych, a także hutnictwa metali nieżelaznych. Rozwój produkcji hutnictwa stanowi warunek rozwoju całej gospodarki narodowej, gdyż stal i żelazo są niezbędne zarówno dla przemysłu i rolnictwa, jak również dla transportu i budownictwa.

14. Uchwala II Zjazdu PZPR w sprawie osiągnięć w wykonaniu Planu Szóstoletniego i głównych zadań gospodarczych na lata 1954—1955.

Popatrzenie na zdjęcie — to huta w nocy. W głębi stawu odbijają się ognie wielkich pieców, światła latarni i suwnic. Nawet dym z kominów stalowni na granatowym tle nocy wznosi się jasnym słupem. — Romantyzm XX wieku, romantyzm naszych dni — powiecie.

Już późno. Biuro Przepustek nieczynne — poczekajmy do jutra.

Dzień upalny — czwercowy. Spiekoty nie łagodzi suchy, gorący wiatr. Tu, w gąszczu torów, kominów i pieców jest on nawet przykry. Sypie w oczy i za kołnierz tumanami brunatnego pyłu. Jesteśmy na terenie Huty „Kościszko”.

KOCIOŁ ALCHEMIKA

Aglomerownia? — O, to po drugiej stronie! Trzeba przejść przez całą prawie hutę...

Z lewej strony toczy się długi pociąg z węglem, z prawej — sapie i gwizdzie lokomotywa wąskotorówki. Uciekasz od żaru wielkiego pieca, by natknąć się na baterie koksownic. Wreszcie z chmury pyłu wylania się barak biura aglomerowni.

— Właściwie to powinniśmy unikać tego obcego słowa — mówi inżynier Królikowski — mamy polski zrozumiały termin — spiekalnia.

— Spiekalnictwo — to stosunkowo młoda gałąź hutniczej wiedzy. Na świecie jest już coraz mniej bogatej rudy kawałkowej — obecnie powszechnie prawie stosujemy rudy mialkie, których jest pod dostatkiem. Jednak samego mialu nie można wkładać do pieca — zasympałby gardziel, powodując eksplozję. Dlatego właśnie spiekalnie spiekują rudy mialkie w kawałki, wzbogacając je jednocześnie w żelazo. Ale niestety musimy przezwyciężać rozmowę — rozpoczyna się konferencja techniczna całej huty. — Wychodźcie, inżynierze? — Nie, po co? U nas wszyscy kierownicy oddziałów mogą konferować nie wychodząc ze swych pokoi. — Inżynier Królikowski przeprasza i bierze słuchawkę telefoniczną: — Tu aglomerownia. Mówi Królikowski — kierownik oddziału. Mielimy dwie godziny przestoju, towarzyszu dyrektorze, z winy przedsiębiorstwa montażowego. Nie dostarczili na czas...

— Prosta sprawa — dyrektor znajduje się w dyspozytorni, gdzie ma przed sobą mikrofon, głośnik i tablicę rozdzielczą na poszczególne oddziały. Wzywa kolejno wszystkich kierowników, którzy referują stan pracy na swoim odcinku. Przypominając sobie taką naradę z filmu „Daleko od Moskwy”. Zresztą posłuchajcie: — Tu wielkie pieca — brzęczy w słuchawce głos inżyniera Koprowskiego — spust na piecu A...

Inżynier Radwan — mój przewodnik — czuje się w swoim żywiole. Nie wierzę mu, że nie lubi aglomerowni — z takim zapalem opowiada o jej urządzeniach.

— W tym zasobniku mamy naszą rudę częstochowską, patrzcie — tu w następnym krzywioroska, a dalej koncentraty skandyńskie. Tutaj się miele, tam wysoko miesza wszystko razem i po tamtędy idzie do pieca, chodźmy zobaczyć.

Im wyżej, tym powietrze staje się cieplejsze. Mimo ochronnego fartucha za kołnierzem gryzie przykry pył. Taśma z koncentratem rud przepływa nad czerwonym płomieniem buchającym z pieca i sunie dalej. Drapie w gardło, pot pokrywa czoło, schodzimy na dół.

Inżynier Radwan trzyma na dłoni kawałek brązowego, porowatego żużla. To właśnie gotowy aglomerat, czyli spiek. Doskonale nadaje się do pieca. Porowatość ułatwia dostęp płomienia do każdej cząstki.

Inżynier Królikowski — kierownik spiekalni, zaledwie półtora roku temu otrzymał dyplom krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Razem z nim na specjalności metalurgii surowki było 17 studentów. Absolwentów tego wydziału ceni się na wagę złota, bo choćby tu na „Kościszku”

— już kończy się budować nowa aglomerownia, a gdzieś Częstochowa, Nowa Huta...

— Możliwości? — Wprost nieograniczone. — Tu inżynier czuje się Bogiem Ojcem w swoich pomysłach. Nasze spiekalnictwo stawia jeszcze pierwsze, niemowlęce prawie kroki. Jak wzbogacić rudę, jakie koncentraty zastosować, by efekt był jak najpomyślniejszy, by przy minimum nakładu otrzymać maksimum wygaśnięć? Do wzbogacenia rudy możemy stosować często jeszcze niewykorzystywany pył wielkopiecowy, wypałki piętrowe itp. Mamy tu ogromne pole do popisu dla racjonalizatorów i wynalazców. Jak poprawić warunki higieniczno-sanitarne aglomerowni, jak obniżyć koszt własne produkcji?

— Praca oczywiście nie dla gogusów — wskazuje na brudny, przepcony kołnierz swej zetempowskiej koszuli — ale i warunki bytowe nienajgorsze. Osobiście zarabiam około 4 tysięcy zł mies. Przeciętny inżynier zarabia u mnie na oddziale 2 do 3 tys. Otrzymaliśmy od państwa Kartę Hutnika, tak jak górnicy i stoczniowcy. Po dwóch latach pracy otrzymujemy w Dniu Hutnika 10 proc. rocznych poborów, po 5 latach — 15 proc. Zapewnione mamy bezpłatne wczas, lecznictwo. Hutnictwo — to piękny, dumny zawód.

ZYWIŁ STU DIABŁÓW

Aglomeraty — to w hucie „Kościszko” zaledwie około 25 proc. pożywienia wielkich pieców. Coś tak jak tłuszcz dla człowieka. Istniejąca spiekalnia inżyniera Królikowskiego nie pokrywa jeszcze zapotrzebowania. Na ukończeniu jest druga taśma i budowa nowej aglomerowni. Niedługo aglomeraty będą stanowiły 50 proc. wsadu. Obecnie w zeszyte mistrza Wielkiego Pieca „A” wpisuje się menu bardziej ciężkostrawne — ruda częstochowska, kamień wapienny, koks, ruda chińska, „Krzyw Rog”, aglomeraty itd.

Po szynach w tę i z powrotem przesuwa się „wagonwaga”. Z zasobników wysypuje się 7 ton rudy, potem koks, topniki — i tak na zmianę. Samoczynne wózki automatycznie wywożą poszczególne składniki na szczyt pieca, przechylają się i wysypują zawartość w ogniste piekło. W tę i z powrotem, do góry i na dół i znów do góry.

Dawniej przy samym załadunku pieca pracowało 30 ludzi i to przy piecu „garnku”. Dziś przy 6-krotnie większym piecu „A” ładuje dwóch maszynistów. W zasadzie niepotrzebne są już wzierniki, przez które można zajrzeć w głąb ognistej lawy. Inżynier Krzemiński — dzisiejszy kierownik zmiany wchodził od czasu do czasu do budki sterowniczej. Tu znajdują się oczy i uszy Wielkiego Pieca — aparaty pokazujące wszystko co i jak. Wskazówki manometrów chodzą spokojnie, rysiki prowadzą po kratkowanym wykresie regularnie drgające linie.

Na piecu „B” coś tam „schrzanili”. Robotnik, który mógłby być ojcem Krzemińskiego, denerwuje się i tłumaczy mu coś fachowym językiem. Inżynier Krzemiński strząsa pył z zadartego, trochę jeszcze chłopięcego nosa i uspokaja robotnika odpowiadając równie niezrozumiale (dla niehutnika — oczywiście). Tamten wraca uspokojony.

Spust. — Płynię biała wstęga żaru, strzela śnieżnymi gwiazdkami iskier, biegnie jak bystry górski potok i toczy się kaskadą w obszerne kadziowagony. Błyszczyący od ognia chłopak w kapeluszu nabiera płynnej surowki w długą „chochle” i wlewa w dwie wąskie formy. — To próbki wytupu dla laboratorium. Kierownik zmiany, młodziutki inżynier Krzemiński udaje „chojraka” — nurza się wprost w ogień. Chłopak z temperamentem, zakochany w swym płonącym żywiole brawuruje prawie, choć wie, że z płynną lawą nie żarty. Właśnie nie dalej jak wczoraj przysnęła mu srebrna drobina na stopę — był w sandałach. Dostał już „pater-noster” od szefa — inżyniera Koprowskiego. Ma



Huta w nocy

Foto B. Malinowski

w kieszeni zwolnienie lekarskie na 6 dni, lecz choć kuternoga — przyszedł na zmianę. Skaranie z tym chłopakiem... Lekkożyństwo? Można i tak nazwać, lecz słuszniej chyba — młodość i miłość. Zwymyślać go trzeba, lecz chciałoby się i uścisnąć.

ROZMOWA W PARKU

Gwizdzie syrena huty. Jakże szybko biegnie czas. Już ponad 6 godzin jesteśmy tutaj — koniec zmiany, a przecież jeszcze koksownia, stalownia i walcownia... Nic nie poradzimy — koniec zmiany, a i żołądek burczy — trzeba się zabierać na obiad.

W chorzowskim parku spokój. W cieniu drzew matki z wózkami, gromada dzieci uganiających na hulajnogach. Skwarne czerwcowe popołudnie omdlewa w koronach liści.

Inżynier Marusiński miał poprzednią zmianę na Wielkich Piecach. Teraz przebrany, czysto umyty, nie przypomina w ogóle smolucha z huty.

Jeszcze kilka lat wstecz pasał krowę na 2-hektarowej ojcowskiej gospodarce w Krakowie. Skończył gimnazjum w Krakowie i poszedł w 1949 r. do Akademii Górniczo-Hutniczej. Lubił chemię, matematykę, czytał o zadaniach wielkiego planu, chodzący słuchy o budowie Nowej Huty. Wraz z paczką kolegów z klasy zapisał się na wydział hutniczy.

Był kiedyś na praktyce wakacyjnej w Częstochowie. Obok starych jeszcze — maleńkich „garnków” Rakowa zobaczył tam automatyzowane obrzyny „Trzeciej Płaszczyny” — potęgi kierowane mądrą, ludzką wolą. To zadecydowało o specjalizacji — poszedł na Wielkie Piece.

Na „Kościszku” pracuje od roku. Mieszkał najpierw w Krzemińskim w czyszczeniu pokoju hotelu robotniczego. Potem zakochał się, a co za tym poszło — ożenił. W 4 dni po ślubie otrzymali 2-pokojowe mieszkanie z łazienką w nowym osiedlu huty. Razem zarabiają około 5 tysięcy złotych.

Co tu dużo gadać — dobrze się żyje, a czasem, gdy się zastanowisz — dojdiesz do wniosku, że przecież ta emaliowana wanna w łazience, do której tak przyjemnie wejść po znoju huty — to przecież owoc twojej pracy — to aglomerat i ruda — to surowka z pieca „B”.

Wielki poeta turecki i nieugięty bojownik w walce o pokój — Nazim Hikmet podczas swego pobytu w Warszawie napisał na łamach „Sztandaru Młodych” (z dnia 5.VI.1954 r.): „Wierzę głęboko, że młodzież mojej ojczyzny będzie tak wolna i szczęśliwa jak Wy”.

ZIMNY PRYSZNIC

Do połowy maja na I roku wydz. lekarskiego Akademii Medycznej we Wrocławiu życie przebiegało cicho i spokojnie. Część kolegów nie przejmowała się sesją w ogóle. Spokój ten przysnął dopiero w połowie maja po kolokwium z chemii organicznej. Okazało się, że wiele osób dotychczas nie zajrzało nawet do notatek i podręczników.

Gdzie należy szukać przyczyn tego, że blisko połowa na roku otrzymała oceny niedostateczne? Prawie przez cały semestr odbywały się dla poszczególnych grup raz w tygodniu repetytoria, na które uczęszczała tylko znikała ilość studentów. W ten sposób dla wielu kolegów niezrozumiałe zagadnienia podawane przez wykładowcę pozostawały nadal nierozwiązane.

Za słabo rozwinięta była też samopomoc koleżeńska. Koleśdy, którym opanowanie materiału nie sprawia trudności, nie pomagali w rozwiązywaniu trudniejszych zagadnień kolegom słabszym. Również zarząd koła ZMP za mało interesował się repetytoriami i nie potrafił zapewnić na nich stu procentowej frekwencji. Trzeba było dopiero kolokwium, by na naszym roku zaczęło zmieniać się na lepsze. Koleśdy bumelanci przekonali się, że umieją bardzo mało i zabrali się wreszcie do nauki, aczkolwiek „trochę” za późno.

W przyszłym roku akademickim bogatsi o tegoroczne doświadczenia nie dopuszczą, aby powtórzyli się dotychczasowe błędy i niedociągnięcia.

JÓZEF PIOTROWIAK
AM — Wrocław

CO NAS NIE ZADOWALA?

Osiem ocen bardzo dobrych, kilkanaście dobrych, trzy niedostateczne — oto wyniki 40-osobowej grupy studentów II r. wydz. prawa UW, którzy egzamin z ekonomii politycznej kapitalizmu i socjalizmu postanowili zdać przed terminem. Tyle mówią cyfry. A jakie było faktyczne przygotowanie studentów?

Trzeba stwierdzić, że było ono słabe. To prawda, że egzaminator wymagał gruntownej znajomości materiałów i oceniał bardzo ostro. Ale przed terminem mogli zdawać tylko te osoby, które w całorocznej pracy osiągnęły dobre wyniki. Mimo takich założeń przygotowanie u większości pozostawało wiele do życzenia.

Najbardziej uderzający i smutny był fakt, że wielu studentom bardzo trudno zdobyć się na samodzielna ocenę faktów i zjawisk, że nie potrafili „wyjrzeć poza skrypt”, nie umieją odpowiednio rozszerzyć zdobytych na zajęciach wiedzy. Część studentów przyswoiła sobie pewien (niekiedy nawet duży) zasób definicji i formuł, lecz tej niewątpliwie koniecznej teorii nie umie powiązać z praktyką, z codziennym życiem.

Jeden ze zdających dobrze wyjaśnił istotę i cele monopolu, dał prawidłową definicję, ale nie potrafił wymienić chociażby jednego współczesnego monopolu, nie umiał dać konkretnych przykładów walki koncernów o rynki zbytu i źródła surowców. Inny — po określeniu obiektywnej konieczności sojuszu robotniczo — chłopskiego — nie zdobył się na przykłady walki klasowej na wsi polskiej czy też fakty rozwiązywania na codzień nieantagonistycz-

nych sprzeczności między klasą robotniczą a chłopstwem.

Fakty te dowodzą, że studenci zbyt mało pracują samodzielnie. Za mało czytają literatury nieobowiązkowej, artykułów naukowych i beletrystyki. Skutkiem jest niedostateczna orientacja w bieżących zagadnieniach ekonomiki i polityki.

Z czego to wynika? Moim zdaniem przyczyną są obiektywne i subiektywne.

Obiektywne — to po pierwsze: bardzo nierównomierne rozłożenie materiału. Np. II rok prawa w sesji zimowej miał tylko dwa egzaminy z wykładów trwających po jednym semestrze, a w sesji letniej ma pięć egzaminów z materiału wykładanego przez dwa — cztery semestry. Powoduje to zbytne przeciążenie studentów w II semestrze. Drugą przyczyną jest zbyt duża ilość zajęć obowiązkowych, np. II rok prawa ma praktycznie 41 godzin tygodniowo (tj. 7 godzin dziennie). Gdzie tu zmieścić naukę własną, wyczerpek, rozrywki, sport, pracę społeczną?

Z przyczynami obiektywnymi łączą się ściśle przyczyny subiektywne. Grupy studenckie za mało uwagi poświęcają sprawie nauki. Rzadkie są wypadki typowania przez grupę słabszych studentów na obowiązkowe repetytoria czy konsultacje, zbyt powierzchownie omawia się na zebraniach fakty notoryczne, niekiedy nieuctwa, zbyt rzadko stosuje się pomoc indywidualną produkujących studentów dla kolegów słabszych, kolektywy pracują przeważnie tylko w teorii lub notesach meżów zaufania.

I wreszcie ogólna, niczym nieuasadniona niechęć studentów do indywidualnych konsultacji. Wszyscy prawie asystenci narzekają na bardzo słabą frekwencję w czasie godzin konsultacyjnych.

Oczywiście te braki występujące szczególnie ostro przy egzaminach nie dotyczą wszystkich studentów. Znaczna ich część wykazuje wszechstronne i głębokie opanowanie materiału. Ale to nie może nas w pełni zadowalać.

STANISŁAW SZEŁHAUS
Uniwersytet Warszawski

DOBRY START

Start do sesji egzaminacyjnej na wydziale komunikacji Politechniki Warszawskiej wypadł zadowalająco. Przede wszystkim w stosunku do roku ubiegłego zmalał do minimum procent studentów nie dopuszczonych do sesji. Niemala zasługa przypada tu organizacji zetempowskiej, która szereg ostatnich zebrzań poświęciła wyłącznie sprawom nauki i sesji. Na zebraniach tych przedyskutowano m. in. listy „Ursusa” i Kędzierzyna drukowane w POPROSTU.

Już pierwszy dzień sesji na naszym wydziale dał bardzo dobre wyniki. Trzy grupy studenckie, które w dniu tym zdawały egzaminy, nie otrzymały ani jednego stopnia niedostatecznego. Najlepiej przygotowania okazali się studenci III roku komunikacji miejskiej, którzy osiągnęli przeciętną 4,4.

TULO SZENIRER
Politechnika Warszawska

GEOGRAFICZNE CWIERĆFINAŁY

Dla geografów III roku Uniwersytetu im. Bolesława Bieruty we Wrocławiu nastąpiły „gorące dni”. Sesje

zaczęliśmy wspólnymi dla całego roku egzaminami z geografii ekonomicznej Polski, geografii ekonomicznej świata i z logiki.

Pierwsze meldunki z ekonomicznego „pola bitwy” doniosły o wyrównanym i wysokim poziomie przygotowania studentów. Nikt jak na razie nie został „obryty” (a kyszi a kyszi), a trójkę — znikoma ilość, Leaderami jak dotychczas są: kol. Wanda Jedraszczyk, Teresa Tylińska i Janek Goebel. Na egzaminie z logiki Iwi pazur pokazały koleżanki Harasek i Sędzik, obie z geomorfologii.

A teraz o kartografii. Grupa ta osiągnęła piękny sukces zespołowy przy egzaminie z matematyki. Na 9 osób — 6 zdało z wynikiem bardzo dobrym, a reszta z dobrym. Jest to rezultat całorocznej systematycznej pracy tych studentów. Na wyjątkowe wyróżnienie zasługuje koleżanka J. Gazeł, której indeks służący może za wzór zaszczytnej monotonii: piątka piątkę pogania.

Tak więc geograficzna batalia o wyniki sesji rozwija się jak dotąd pomyślnie.

STANISŁAW COZAS
UBB — Wrocław

CIEKAWY EGZAMIN

Pierwszego czerwca nasza grupa — TK 12 wydziału transportu śródlądowego przy WSE w Szczecinie — przystąpiła do egzaminu z podstaw marksizmu-leninizmu. Egzaminator — profesor Mieczysław Gordon wprowadził nową ciekawą formę egzaminowania. Polega ona m. inn. na tym, że na sali egzaminacyjnej znajduje się cała grupa, co pozwala śledzić odpowiedzi wszystkich kolegów.

Taka metoda egzaminowania daje dobre wyniki, szczególnie przy egzaminach ideologicznych, gdzie egzaminator wymaga nie tylko znajomości „objektowego” materiału, ale umiejętności dialektycznego myślenia. Trzeba więc było dyskutować w gronie kilkunastu osób na różne tematy, trzeba było łączyć teorię z praktyką, dawać przykłady z naszego, codziennego życia, tłumaczyć i uzasadniać słuszność polityki naszej partii.

A oto wyniki cyfrowe: grupa nasza liczy 30 osób, do egzaminu przystąpiło 26. Wszyscy zdali. Nie wszyscy jednak potrafili myśleć dialektycznie, mimo że znali fakty historyczne i formuły filozoficzne. Do takich właśnie należeli kol. Ryszard Kasprzak i Mieczysław Obrys. Oceny bardzo dobre za wyjątkową orientację w materiale i umiejętność łączenia faktów i zjawisk otrzymali: kol. Siona i Semenuk.

Po skończonym egzaminie odbyliśmy dyskusję, w toku której wspólnie z profesorem i asystentem prowadzącym ćwiczenia w naszej grupie zastanawialiśmy się nad ogólnym poziomem grupy, nad tym czy oceny wystawione przez profesora były zgodne z oceną asystenta, czy odpowiadały całorocznej pracy naukowej danego studenta. Inicjatywę organizowania własnie takich egzaminów i dyskusji uważamy za bardzo cenną.

STANISŁAW URBANEK
WSE Szczecin

poprostu

Numer, który w tej chwili czytasz przeznaczyliśmy specjalnie dla Was, dla przyszłych studentów, a zarazem naszych stałych czytelników.

Gdy będziesz we wrześniu stawiał pierwsze i nie zawsze łatwe kroki w studenckim życiu — pamiętaj, że jest jacielem, który zawsze będzie się starał Ci pomóc, przy Twoim piśmie.

DLATEGO POWINIENES WIEDZIEĆ, ŻE:

— POPROSTU jest trybuną wszystkich studentów

— znajdziesz w nim artykuły i reportaże z życia studentów, organizacji ZMP-owskiej i uczelni całego kraju

— możesz w nim zamieścić swoje artykuły i utwory literackie

— POPROSTU drukuje poezję, prozę i satyrę młodych pisarzy

— POPROSTU zajmuje się problemami nauki które Cię na pewno zainteresują

— będziesz mógł przeczytać o życiu studentów za granicą.

PAMIĘTAJ ŻE —

— POPROSTU nie ukazuje się w miesiącu lipcu i sierpniu

— w miesiącu wrześniu będzie wydawane specjalnie dla Was — studentów I roku

— pismo należy zaprenumerować w terminie do 10 każdego miesiąca w każdym urzędzie pocztowym lub PPK „Ruch”

— będziesz je mógł nabyć na terenie swojej uczelni

— liczymy na Ciebie, na Twoją opinię o piśmie, na Twoją współpracę, a więc do zobaczenia po wakacjach.

Pisząc o studenckim życiu kulturalnym, trudno nie pisać z entuzjazmem, tym bardziej, gdy leży przede mną gruba teczka zdjęć, a z każdego patrzą uśmiechnięte twarze. Wprawdzie w ciągu roku nikt nie żałował gorzkich uwag o brakach tego życia, jedno jest jednak jego olbrzymią i niezaprzeczalną zdobyczą: masowość i wzrastająca z każdym miesiącem różnorodność form.

Gdy po wakacjach przyjdą na uczelnie ci, którzy dziś zdają egzaminy dojrzałości, będą mieli w czym wybierać, a również sami zapewne nie zrezygnują z ambicji wzbogacenia go o swe własne pomysły.

Popatrzenie tylko, wybór naprawdę będzie niełatwy, mimo że wszystkiego nie dało się pokazać w kilku zdjęciach.

Zespoły kulturalne naszych uczelni nie tylko urozmaicały studenckie życie, spełniały inną i to nie mniej ważną rolę. Nasze zespoły trafiały wszędzie — od estrad w mieście aż do najdalszych wiosek docierały słowa ich pieśni niosąc w szerokie masy widzów naszą narodową kulturę.



Na początku nigdy nie jest łatwo, mimo że i tu nie brak humoru. Zespół baletowy Politechniki Łódzkiej długo ćwiczył w sali gimnastycznej. Ale właśnie tutaj nawiązały się pierwsze przyjaźnie i tu zaczęły się pierwsze sukcesy.

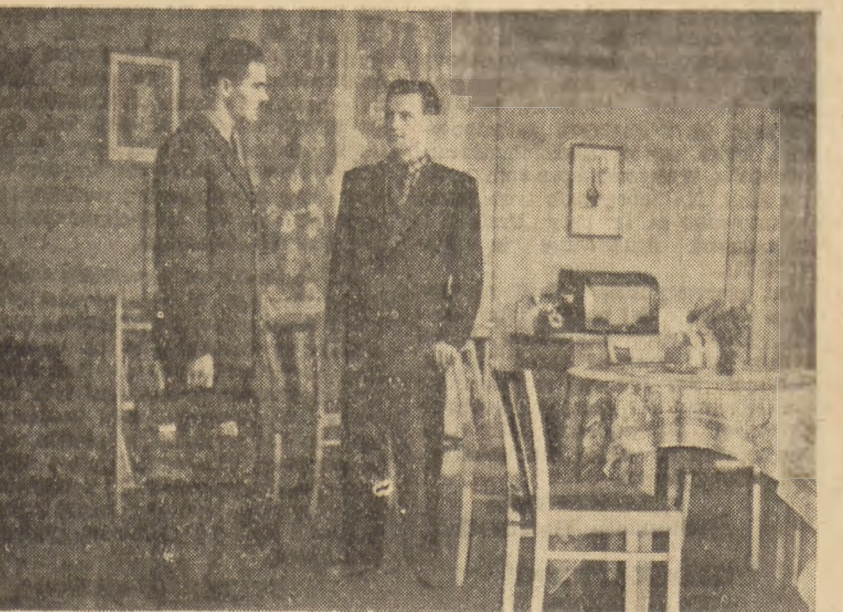


Uczelnie techniczne posiadają najlepsze zespoły artystyczne. Przyszli inżynierowie zajmują się nie tylko liczbami.

„...Śladaj Maryś na wóz i welonik załóż...” oto fragmenty „sultry kurpiowskiej”, którą Politechnika Warszawska oczarowała widzów.



Teatr kukiełek? Ho, ho! Powiecie: to przecież dla dzieci. Wcale nieprawda, jest wiele studenckich teatrzyków kukielkowych, a na ich przedstawieniach świetnie bawią się dorośli i... aktorzy. Bo przecież za kukielki trzeba mówić, a wczesniej jeszcze samemu je zrobić. Koleżanka z PWSSP w Łodzi — jak widziacie na zdjęciu — bardzo dba, aby jej pupille było w chusteczce „do twarzy”.



A tu już naprawdę teatr. Zespół dramatyczny Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu wystawił już niejedną sztukę i przyczynił się tym samym do ożywienia życia kulturalnego nie tylko na uczelni, ale i w całym Toruniu.

Musieliśmy przepłynąć przez rzekę. Dobre pół kilometra ciężkiego wiosłowania na dużej niezgrabnej krypie. Wreszcie dotarliśmy do tajemniczej wyspy, na której wznosił się stromy kopiec. Witia Szalagin wziął z dna łódki lampę naftową i kłębek sznurka na wypadek, gdybyśmy się zgubili w podziemnych korytarzach. Potem zaczęliśmy szukać tych podziemnych korytarzy.

Krażyły legendy, że na wyspie tej, pośrodku Wołgi, przebywał Stienka Riazin ze swymi druhami. Stąd urządzali wypadki na dwory bogaczy, a nieprzebrane skarby ukrywali w grotach podziemnych. Stąd jak sokoły spadali niespodzianie na statki kupców moskiewskich. Na tym wielkim kamieniu siedział nieraz Stienka Riazin i śmiał o niewoli i niedoli ludu, o tym, jak piękna jest matka-Rosja, jak mogłaby być szczęśliwa.

Przedzieraliśmy się przez zielone gąszcz malin, szukaliśmy wejścia do podziemi. Grisa przeciągle zagwizdał — wśród gęstych krzewów widniał niewielki, ciemny otwór. Nisko pochyleni ruszyliśmy wilgotnym korytarzem. Ścisaliśmy się za ręce — dziwnie tu było, trochę nieswojo. Wydawało się nam, że wkroczyliśmy w stare, zamierchłe czasy, że oto zza zakrętu korytarza ukaże się wąsaty Molójew w szarawarach z pistoletem zatkniętym za szeroki pas. Mieliliśmy po 12 — 13 lat.

Skarbów nie znaleźliśmy, znaleźliśmy za to rękojeść szabli, przetrąta rdzą. Może ta szabla należała do Stienki Riazina? Witia Szalagin miał fantazję. Gdy wydestaliliśmy się z podziemi na świeże wołzańskie powietrze, z miejsca ukut historię jak to Stienka staczał w podziemnych walkach z carskimi żołnierzami, jak pękła mu w dłoniach szabla i jak sztyłem jedynie rozprawił się z wrogami. To był nie lada bohater — Stienka Riazin!

Wyprawy po skarby urządzaliśmy nie tylko do tajemniczej wyspy. Co kilka dni szturmowaliśmy mały parterowy domek w którym mieszkał siwy Michał Wasiljewicz, bibliotekarz. Biblioteka liczyła zaledwie kilkaset tomów, w wytartych, starannie popobekanych okładkach. Był okres wojny. Nowych książek nie wydawano, część starych poginęła, część uległa zniszczeniu. Każdy tom był na wagę złota — czekaliśmy nieraz na upragnioną książkę miesiąć, więcej. Czytaliśmy razem, na głos — gorące wiersze Puszkina, opowiadania Gajdara, baśni ludowe, powieści Tolstoj. Niekiedy brakujące wyrwane kartki uzupełnialiśmy sami, wysyłałymi Czelkasza Gorkiego na niebezpieczne wyprawy, wydobywalimy z opresji Annę Kareninę. Pokochaliśmy tym mocniej przepiękną literaturę rosyjską, że książkę zdobywaliśmy z trudem, że była najdroższym witanym gościem. Otwierała przed nami pełną romantyzmu przeszłość Rosji, pokazywała pełne pasji, ciekawe i bogate życie w wielu zakątkach kraju radzieckiego, dawała nam pełnię przeżyć, doznać.

Pamiętam pierwszą moją bytność w operze — do Kujbyszewa przyjechał z Moskwy Wielki Teatr Ope-

ry. Kierownictwo szkoły zakupiło kilka biletów, mieli je dostać najlepsi uczniowie. Nie było wówczas w klasie, a bodajże w całej szkole, ani jednej trójki. Dostałem bilet.

„Sina, delikatna mgła nad skrzącą się taflą śniegu. Leński śpiewa na chwilę przed pojedynkiem, w którym zginie. Znałem treść „Eugeniusza Oniegina”, czytaliśmy go kilkakrotnie. A jednak siedziałem



rys. Jerzy Karcz
Drogowskaz

jak urzeczony wpatrując się w czarodziejski krajobraz rosyjski, słuchając tej pięknej i smutnej pieśni. Śledziłem tak do końca przedstawienia; również moi przyjaciele. Próbowałem potem mówić o operze, ale nie wychodziło. Zbyt głębokie, osobiste były przeżycia.

I jeszcze jedno wspomnienie — chwile pożegnania, gdy miałem wracać do ojczyzny, do Polski.

Lubiliśmy się, byliśmy do siebie mocno przywiązani. Byliśmy przyjaciółmi — Witia Szalagin, Zenia Libert, Walia Jegor i ja. Nie było między nami czułości, zdarzało się czasem pobić o drewnianą szpadę, pokłócić. Ale trudno było nam się rozstać. Obiecaliśmy sobie, że nie zapomnimy o przyjaźni, że jeszcze na pewno się spotkamy. Na pożegnanie otrzymaliśmy od nich prezent — niewielki albumik z widokówkami. Ot, zwykły sobie widok z krajobrazem wołzańskim, jeleniem w tundrze, reprodukcją obrazu Repina czy Ajwazowskiego. Niezwykle cenny album.

Jedni zbierają znaczki, inni pudełka od zapalek. Myśmy zbierali widokówki. W czasie wojny było o nie bardzo trudno — niekiedy przychodziło z frontu od ojców, braci, niekiedy znajdowano je przypadkiem w starej szufladce, na strychu wśród rupiec. Jegor „najbogatszy” z nas miał pięć widokówek — zazdrościliśmy mu bardzo.

Dostałem w prezencie album ze wszystkimi widokówkami jakie mieli moi przyjaciele. Z tymi, które znalezione w szufladzie, na strychu i z tymi najcenniejszymi od ojca, od brata z frontu.



Ten zespół, jak i wiele Jemu podobnych, powstał dopiero niedawno i każdy wie, że aby do niego wstąpić, trzeba mieć „specjalne” zdolności. Studenckie teatry satyryczne torują sobie dopiero drogę i z chęcią przyjmą każdego, kto ładnie śpiewa i ma „spójrzanie” satyryczne. Należy przyznać, że programowi warszawskiego Studenckiego Teatru Satyrycznego pt. „To idzie młodość” nie brak ani piosenek ani satyrycznego spojrzenia.

ALEKSANDER MINKOWSKI

więcej, wprowadzając bezpośrednio w bogate skomplikowane życie ludzi radzieckich. Razem z Zenią przeżywałem radość ze zdanego egzaminu (piekielnie trudny był egzamin) i idę z nim w czasie przerwy do nowego teatru. Jegor oprowadza mnie po stalowych kondygnacjach budowy, na której odbywa praktykę, a która jest „żebyś wiedział” niezwykła, drugiej takiej nie znajdziesz”.

Miłość moja do kraju, w którym spędziłem długie lata okupacji, w którym znalazłem opiekę i przyjaciół, ta dziecięca miłość stała się dziś dojrzała i jeszcze mocniejsza. Przeczytałem dużo książek o Związku Radzieckim, głębiej poznałem jego kulturę, historię. Studiuję filologię rosyjską. To zbliża mnie do moich przyjaciół, odkrywa przede mną wciąż nowe skarby — bogactwo życia Kraju Rad, jego piękno, mądrość.

Wierzę, że spotkamy się jeszcze z Witą, zezującym Jegorem, Walią o ruderę zmierzwiłonej czuprynie, z Zenią, który chce koniecznie zobaczyć Warszawę. Będziemy wspominać dawne dziecięce lata, pochwalimy się wrażeniami z lat ostatnich. I oczywiście pada pytanie: a co teraz robisz?

Tą drogą im odpowiadam.

Studiuję filologię rosyjską, poznaję kulturę Waszego wielkiego narodu, poznaję język, którym pisali swe utwory Puszkina, Lermontowa i Majakowski, poznaję mądrość i porywającą swą pasją i szlachetnym umiłowaniem człowieka wielką, nieprześcignioną prozę rosyjską: Gogola, Turgieniewa, Szczedrina, Tolstoj, Czechowa, Gorkiego... Poznaję kraj radziecki, jego potężne budownictwo, jego bogate doświadczenia, jego wspaniałą, rozwijającą się kulturę. Wiedzę zdobytą na studiach pragnę przekazać ludziom naszego kraju. Ta wiedza jest im niezbędna, ta wiedza ich wzbogaci. Myślę, że to nas bardziej do siebie zbliża.

Cztery

(Korespondencja własna)

Otrzymuję wiele listów z Polski. Koledzy, przeważnie studenci, proszą mnie: „Napisz nam o radzieckich problemach kulturalnych, o moskiewskich teatrach, kinach, muzeach...”

Niech te cztery rozmowy moskiewskie będą choć częściową odpowiedzią na liczne pytania.

ROZMOWA PIERWSZA — O MUZEACH

Niedawno, pewnemu polskiemu studentowi z Uniwersytetu Moskiewskiego wydarzyła się dość zabawna historia. Poznał na poczeku roduka — inżyniera, który przyjechał do Związku Radzieckiego, aby zapoznać się z organizacją pracy jednego z wielkich przedsiębiorstw przemysłowych.

— Pomóżcie mi, towarzyszu, zwiedzić nieco miasto — poprosił nasz inżynier.

Nazajutrz była niedziela, umówił się więc, że zwiedzą tego dnia Galerję Tretiakowskią.

Pogoda była kiepska, siąpił dokuczliwy deszcz. Ruch na ulicach Moskwy był znacznie mniejszy aniżeli w inne świąteczne dni.

— Skreślił się nadbrzeża Kozdazewskiego — opowiadał mi potem kolega — w cichą i wąską uliczkę Ławruszyńską, gdzie mieści się słynna galeria obrazów. I nagle — mój inżynier stanął jak wryty. A to co? Czy jakiś Uniwersytet? Co tu sprzedają? Dlaczego taka długa kolejka? — dopytywał się ciekawie.

Istotnie na deszczu mokli ludzie różnego wieku i powierzchności — młodzież szkolna, robotnicy, inteligenci, jakaś wycieczka z kolchozu, duża grupa marynarzy, oddział żołnierzy gospodnie domowe... — Zaraz właśnie — uśmiechnął się student.

Podeszli do szerokiej bramy, w głębi której znajdował się cel ich wycieczki... — Galerja Tretiakowska. Inżynier był zaskoczony, zmieszany i wzruszony.

Student chciał podejść do pilnującego porządku milicjanta i pokazać zagraniczne paszporty. Gościnni moskiewczanie przepuścili by ich oczywiście bez kolejki do środka. Lecz inżynier zdecydowanie sprzeciwiał się.

— Nie, towarzyszu, nie trzeba! Zaprowadźcie mnie do innego muzeum, zobaczymy czy i tam stoją ludzie. To mnie bardziej interesuje, niż skarby wewnątrz murów.

Poszli do Muzeum Historycznego. I tu u wejścia stała nie mniej pokaźna kolejka. Przed świątynią Błogosławionego Wasyla na Placu Czerwonym, gdzie obecnie mieści się muzeum, tłoczyło się kilkudziesięciu ludzi.

Inżynier długo o czymś myślał, potem zaś zwierzył się swemu młodemu towarzyszowi: — „Ja jestem, wiecie z tych „starych inteligentów”, dużo czytałem i widziałem. Byłem jeszcze przed wojną za granicą — w Berlinie, Paryżu, we Włoszech. Ale tego, by ludzie do muzeum stali w kolejce nie widziałem nigdzie. Tam muzea świecą pustkami, jedynymi ich gośćmi są turyści zagraniczni. Wiele czytałem o Związku Radzieckim, o tym, co nazywacie „rewolucją kulturalną”. Nie rozumiem dotąd tych słów, teraz zaczynam rozumieć...”

Przytoczona przez kolegę rozmowa przypomniała mi inny, nie mniej zabawny fakt sprzed dwu przeszło laty.

ROZMOWA DRUGA — O KSIĄŻKACH

Studiowałem wtedy w Świerdłowsku.

Któregoś dnia, w lutym, a może w marcu 1951 roku wybraliśmy się większą gromadą do kina na ostatni seans, który kończył się po godzinie pierwszej w nocy.

Szliśmy gwarną grupą na przystanek tramwajowy. Ulice były już puste. Nagle po przeciwległej stronie ulicy dostrzedłem kilkudziesięcioosobową kolejkę.

Mieściło się tam sporo sklepów i trudno się było zorientować, przed którym z nich zgromadził się tłum. Pobiegłem zobaczyć i zdumiałem się: przed księgarnią Radzieckiej koledy nie byli tłumem, Dina z wydziału filologicznego spokojnie objaśniała:

— Wrzóżą wywieszono ogłoszenie, że do sklepu nadejdzie około 100 kompletów nowego wydania dzieł Balzaka. Więc ludzie stoją. Ja

O pełnię naszej sztuki

Dzieło pisarza, powieść, dramat, wiersz liryczny — to rezultat indywidualnego wysiłku artysty. Istota talentu polega przecież na tej własności szczęśliwie zharmonizowanej w dziele artystycznym najbardziej osobistego przeżycia ze świadomością i uczuciowością ludzkiego zbiorowiska — klasy, narodu.

Uproszczenie tej prawdy było między innymi jednym ze źródeł schematyzmu.

Przypominam tę prostą prawdę w związku ze Zjazdem Związku Literatów Polskich.

O dziele twórczym decyduje w zasadzie jednostkowe doświadczenie artysty konfrontowane bezpośrednio z doświadczeniem społeczeństwa. Żaden kolektyw nie napisze za artystę dzieła sztuki.

Znaczenie artystycznych narad polega na tym, że artysta spotyka się z artystą w celu wymiany osobistych i społecznych doświadczeń, zawartych w dziele napisanym i w dziele przyszłym, które zaprzętnęło rozum i serce twórcy.

W atmosferze artystycznych dyskusji jaśniej zarysowują się wspólne cele, które przewodzą całemu ruchowi artystycznemu i wiążą literaturę i sztukę z magistralą rozwojową całego społeczeństwa.

Kolejny Zjazd Związku Literatów Polskich odegra szczególną rolę przez wyjaśnienie właśnie tych zasadniczych idei, które oświetlają trud pojedynczego twórcy i artystycznej społeczności.

Jeśli Zjazd Szczeciński ZLP wysunął hasło realizmu socjalistycznego jako przewodniej, kierunkowej idei rozwoju naszej sztuki, to obecnie zadaniem Zjazdu pisarzy jest wzbogacenie i pogłębienie praktyki

literackiej socjalistycznego pisarstwa.

Zadaniem naszym, pisarzy Polski Ludowej, jest oczyszczenie naszej twórczości z resztek ideowych i artystycznych nieporozumień, które obniżyły lot naszej twórczości, pomniejszyły jej rozmach, jej ideowość i prawdomówność.

Chcemy, aby w naszych powieściach, dramatach i wierszach pełniej przemówił bohater naszych dzieł — naród. A naród — to nie bezbarwna masa, to zbiorowisko ludzkie, w którym żyją ludzie o ciekawych i skomplikowanych charakterach, to człowiek twórca, w którym dojrzewają nowe myśli i nowe uczucia zrodzone z socjalistycznych form współżycia między ludźmi.

Walcząc o pełnię naszej sztuki, o jej szczerość i prawdomówność — odrzucamy burżuazyjny obiektywizm i naturalizm oraz bezpłodne kwiaty formalizmu. Przysłowiowy „nowy wiatr” w sztuce, to nie koniunktura dla bezideowych pięknoduchów — to wiatr, który dmie w nasze żagle — wielkiej literatury okresu budownictwa socjalistycznego i nowego społeczeństwa ludzi pracowitych i dzielnych, niepozbawionych wyobraźni i serca.

Jestem poetą. Myślę, że atmosfera Zjazdu sprzyja większemu niż dotąd uczuleniu naszych wierszy, by zabrzmią w nich ludzka prawda o naszym równieśniku — nowym człowieku Polski Ludowej. Zajmuję się publicystyką literacką. Słowem publicysty będziemy bronić prawdy i rozwoju naszej sztuki, sztuki naszego narodu, którego szczęśliwy dzień jutrzejszy wyczuwamy w rytmie naszego dzisiejszego pracowitego dnia.

O powieści wiosenne

Była w żółtej bluzce. Pomyślałem, że ma gust. Czarne kobiety ładnie wyglądają w żółtym kolorze. Miała ogromne czarne oczy i starała się na mnie nie patrzeć. Może to było w czasie lektoratu. Nie pamiętam... Ale na pewno była wiosna; krwiste tulipany białe konwalie. Ładnie by jej było również w czerwonym, lub białym. Często zabierała głos — ale to już było na innym wykładzie. A może na ćwiczeniach. Mówiła o sztuce starożytnej, a ja gapiłem się na nią „Starożytni wiosną byli mniej gadatliwi i pewno też się kochali” — formułowałem w myśli.

— A pan co sądzi na ten temat. — spojrzalem na asystenta — ja, ja bardzo lubię żółty kolor, a jeżeli chodzi o Egipt...

Burza śmiechu i jej spojrzenie pełne światła. Nawet się nie skosternowałem. Na zakończenie podszedł do mnie asystent.

— Czy pana nie interesuje sztuka starożytna?

Srodkiem ulicy, w pełnym słońcu — wóz węgla ciągniony przez dwa opasłe konie. Stary węglarz trzyma lejce, młodszy kręci się niespokojnie.

— Szefie, wyskoczę na chwileczkę. Zaczekajcie na mnie.

— Prr. — Stary zatrzymał konia. „Za potrzebą, czy co” — pomyślał. Chłopiec zwinnie podbiegł do urzędującej na rogu kwiaciarki — za chwilę trzymał ostrożnie w rękach pęk tulipanów. Usmarowany węglem bał się je pobrudzić.

Przedstawienie amatorskiego teatru studenckiego. Widownia pełna młodzieży. Za chwilę mój wiersz.

— Owszem, interesuje, tylko widzi pan ja jestem zakochany, to znaczy bardzo polubiłem dzisiaj żółty kolor. A ona pomyślała pewnie, że jestem niedorozwinięty.

— Nie — pocieszył mnie asystent — wygląda pan raczej na dobrotliwego daltonistę, ponieważ ona była w bluzce zielonej.

Popatrzyłem na niego z politowaniem — on moim rywalem. Zza spojonych okularów patrzył na mnie jeszcze chwilę i powiedział:

— Ona jest rzeczywiście ładna.

— Która? — zapytałem.

— No ta w zielonym, od stolika na prawo.

Panu chodzi o Krystynę? Bo ja myślę cały czas o tej z końca w żółtym.

Pomyśleliśmy o sobie — „ale on ma gust” — i wymieniliśmy serdeczny uścisk ręki. Wybaczyl mi wypowiedź o Egipcie.

Upił się szczeniakiem — pomyślał stary — a nic nie poczułem. — Pewno nażarł się miętusów.

Chłopiec znikł w pobliskiej bramie. Za chwilę z roześmianą gębą wdrapywał się na wóz.

— Dziś jej urodziny, na Zofii kończy 19 lat.

W oknie na pierwszym piętrze, usmarowana węglem dziewczyna wkładała do dzbanka tulipany. Chłopak zamachał rękami niezrozumiale.

— No, dość szczeniaku. Wio...

Niecierpliwie „przelatuję” tekst. Coś o miłości do maszyny; dziewczynki.

czyna na traktorze; chłopak wykonał plan.

— Teraz ty — przeraźliwie szepcze Piotr.

Wyszedłem. Na widowni blisko jedno obok drugiego — dziewczęta i chłopcy. Dreszczyk niepokoju. Nieoczekiwanie dla samego siebie zacząłem:

„Ile pięknych dziewczyn jest na tej sali ...” I mówiłem długo. Pary zaczęły się do siebie przybliżać. Nikt na mnie nie patrzył. Dziewczyna miękkim ruchem pogładziła włosy swego chłopca. Było bardzo cicho. Gwałtowne kopnięcie przez kurtynę. Skloniłem się w połowie zdania i zszedłem ze sceny. Co to będzie? Potożyłem przedstawienie. Zawstydzony, skulony, po-

stępiony milczeniem kolegów stałem ciśnięty w kąt.

„Każdy z nas W codziennym trudzie

Jest poetą Przyszłych dni”

śpiewała Hanka. Znaczą, że przedstawienie idzie doleć.

— Zapomniałeś tekstu biedaku. Nie poznali się żeś improwizował, bili brawo, wiesz? — pocieszał mnie Piotr.

PS. W recenzji napisano, że to co mówiłem, było rzekomo pisane białym wierszem i że poza formalnymi potknięciami było całkiem, całkiem. Cudowna wiadomość — nawet zgrzytliwi recenzenci podlegają ludzkim uczuciom.

JERZY MARKUSZEWSKI

JÓZEF RATAJCZAK

Klemens Janicki

W uliczkach dom obok domu kłęczy,
garbate stropy chyląc nad brukiem —
z wieży farnej ciężki, rudy księżyc
jak dzwon zerwany spadł ostrym łukiem,
Krzywe posągi wsparte o wnęk
ku niebu wznoszą oczy zagasłe —
wokoło krąży cień ich bezręki,
w cieniu — idzie Janicki i kaszle.

Stanął — wryty w kamiennym mroku
przez spływający z okapów przedświt —
i słucha swoich młodzieńczych kroków
odbitych w gołyku staromiejskim.

Słucha — błętnie echo coraz szerzej,
uderza w stare, klęczące uliczki...

Idzie tysiące chłopskiej młodzieży
do szkół Lubrańskich, do pałaców Krzykich.
Poznań, lipiec 1953 r.

Taka niewielka część ziemi
w horyzoncie obręczy
gdzie wspólną troską żyjemy,
trudem pracy objęci.
Dom, brzoźki, wzgórza jak inne,
omszały głaz na zakręcie —
a serce bije tu silnie,
a krew opływa prędeją.

Na ziemi tej szczupłej garści
zrosnionej z życiem przez łazę —
pracować trzeba i walczyć
dla sprawy całego świata.
1953 r.

MIROSLAW KOSTERKIEWICZ

Gdybym nie kochał arabesk
Ze Staromiejskiej barwnej ściany,
Ciepłego wiatru, który niesie
Od Wisły poszept nieustanny;
Gdybym nie kochał myśli mądrej,
Porywu, który targnie ciałem
I nie potrafił sił swych oddać,
By ludzi w lepszych przemieniały.
Gdybym nie kochał Beethovena,
Upalnych dni, gdy dzwonią kosy
I mówił Tobie bez wzruszenia
O tym, że nikt nie będzie bosy,
To wtedy szczęście nasze, mila,
Tak mocno by nas nie cieszyło,
marzec 1954.

rozmowy

z Moskwy)

też mam zajęta kolejkę. Teraz ma „dyżur” Lusja, zmienia ją o 5 rano (sklep otwierano nazajutrz o dziesiątej).

Gdy napisałem o tym do jednego z pism w kraju, listu nie wydrukowano. W czasie wakacji wstąpiłem do redakcji, by spytać o przyczynę. Sekretarz, lekko zażenowany, tłumaczył mi: — Towarzyszu, to rzeczywiście bardzo ciekawe. Wszyscy w redakcji czytali Waszą korespondencję, ale wydrukować... Któż u nas w kraju uwierzy, że można stać całą noc, aby kupić kilka tomów Balzaka?..

ROZMOWA TRZECIA — TAKŻE O KSIĄŻKACH

W Zw. Radzieckim nakłady książek są b. duże, olbrzymie, ale nie wystarczają wobec stalego wzrostu zapotrzebowania na literaturę piękną.

Można zaprenumerować książki w specjalnych księgarniach abonentowych, „podpisać się” (jak mówią tutaj) na całe komplety klasyków, literatury technicznej i naukowej, medycznej, przyrodniczej i politycznej. Niedawno „zbierano podpisy” na dzieła Gorkiego, Puszkina, Mickiewicza, Petőfi, Dreisera, Orzeszkowej...

Administracja księgarni specjalną pocztówką zawiadamia, kiedy można zgłosić się po odbiór kolejnego tomu. Płaci się przy odbiorze każdej książki z osobna, co jest bardzo wygodne, bo nie trzeba wydawać od razu znacznej sumy pieniędzy. Tylko wpisowe i należność za ostatni tom pobierają z r. v. Jeśli ktoś nie wykupi wszystkich tomów (ale to zdarza się bardzo rzadko), te kilka rubli przepada.

Coraz więcej książek jest także w zwykłej, nieabonentowej sprzedaży.

Niemniej jednak my, studenci polscy, często przepagaliśmy ciekawe nowości książkowe. Kupowaliśmy je potem zazwyczaj w Polsce.

Ostatnio jednak nasi koledzy i bliscy z Polski zaspęłali nas prośbami o przysłanie książek radzieckich.

W listopadzie ubiegłego roku była w ZSRR delegacja TPPR. W



W radzieckich muzeach zawsze pełno zwiedzających, których interesuje historia kultury własnego narodu

czasie naszego spotkania rozmowa zeszła na temat literackiej i książkowej radzieckiej. Jeden z naszych polskich uczonych, profesor uniwersytetu, powiedział nam wtedy:

— Nie dziwcie się, że z Polski coraz częściej was proszą o książki radzieckie. Nie, to wcale nie znaczy, że tych książek jest obecnie u nas mniej. Jest ich więcej, znacznie więcej niż było przedtem ale — ich ilość jest już niewystarczająca. Wzrasta nadzwyczaj szybko popyt na książki w języku rosyjskim. I wiecie, to jest naprawdę niezwykle dobrze, że z książką radziecką rubli się u nas „zle”.

ROZMOWA CZWARTA — O TEATRACH

W Moskwie jest około 30 teatrów.

Pytanie: co należy uczynić, aby dostać się do teatru?

Odpowiedź: kupić bilet w jednej z niezliczonych kas teatralnych, które znajdziecie wszędzie: w metrze, w wszystkich uczelniach, na poczcie, na ulicy. Ale... właśnie o to chodzi. Aby dostać się do teatru moskiewskiego należy kupić bilet przynajmniej o całe dwa tygodnie wcześniej. Tylko wyjątkowo szczęś-

liwiec znajdzie w kasie bilet na ten sam dzień. Najtrudniej jest zwłaszcza z biletami do Mchaty, do Teatru im. Wachtangowa, do Teatru im. Mossowiego, do Teatru im. Jeromolowej, do Teatru Armii Radzieckiej, do Teatru... Przykłady można mnożyć.

Od kilku tygodni usiłuję „przy-padkiem” bez kolejki dostać bilety na ostatnie głośne spektakle teatrów moskiewskich: do Teatru Satyry — na „Łażnię” Majakowskiego, na „Burzę” M. Ostrowskiego do Teatru im. Majakowskiego, na „Jezioro Łabędzie” do Teatru im. Stanisławskego, do Teatru Małego na „Port-Artur”... Niestety, nie udało się Trzeba więc będzie stanąć w kolejce przed kasą.

Jak to wygląda? Bardzo prosto!

Należy pojechać w ustalony dzień do teatru i zapisać swe nazwisko na długiej liście. Zapisy trwają od rana. Na godzinę przed otwarciem kasy odbywa się wywołanie. Ci, którzy wytrwali, otrzymują specjalny numer i stoją w kolejce do biletu (ja byłem 102). W ten sposób 15 marca udało mi się kupić dwa bilety na dzień 4 kwietnia. Miałem szczęście, wszystko to zabrało mi tylko... 3 godziny,

Dziś czytałem w gazecie ściennej prawników, że kilku studentów II roku stało całą noc po bilety na „Eugeniusza Oniegina”.

KILKA SŁÓW NA ZAKOŃCZENIE

Nie chciałbym, aby ktoś opacznie skomentował moje cztery rozmowy. Tylko w ostatnim półroczu z kilkunastu ważniejszych moskiewskich muzeów zwiedziłem cztery. W teatrze bywałem dwa razy w miesiącu. W ciągu trzech i pół roku studiów skompletowałem kilkusettomową bibliotekę. I wcale nie jestem wyjątkiem. To samo powie Wam każdy student radziecki.

Można wiele pisać o rozkwicie radzieckiej kultury. Można cytować milionowe cyfry nakładów książkowych, porównywać życie teatralne Moskwy i np. Nowego Jorku. Można pisać o 57 milionach uczących się w ZSRR, o nowych muzeach, klubach, teatrach, pałacach kultury, stadionach. Sądzę jednak, że to co napisałem stanowi pewien przyczynek do poznania i zrozumienia życia w Związku Radzieckim i jego ludzi.

RYSZARD BADOWSKI
Uniwersytet Moskiewski
Moskwa, kwiecień, 1954 r.

Dla mocnych ludzi

POSTANOWIENIE

Silny zapach smarów i przytłumiony łoskot przywitał nas u progu Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa. W tym właśnie gmachu mieści się wydział mechanizacji rolnictwa Politechniki Warszawskiej.

Jesteśmy zaskoczeni niespodziewanym widokiem olbrzymiej, wspartej na wyszczepionej hali maszyn, w której oko laika gubi się wśród masy najdziwniejszych i skomplikowanych mechanizmów. Zamyśleni w te wszystkie zagadkowe cuda o mało nie rozdeptaliśmy studenta, który przykucał przed jednym z tych wzbudających podziw i szacunek żelaznych olbrzymów (jak później dowiadujemy się, był to kombajn do wyrzucania lnu) i zapamiętał studiował jakiś szczegół jego skomplikowanej budowy.

Jest bardzo brzydka rzecz przeszkadzać w nauce, szczególnie przed egzaminem. Ale trudno, czasem trzeba... Janka Wujcika nie łatwo wciągnąć w rozmowę. Odpowiada nam przed burkliwie, ale później coraz przychylniej. Uczy się? No jasne! Coż innego student może robić w czasie sesji! A teraz ogląda ten kombajn „trochę do egzaminu, a trochę nie”.

Kombajn ten, mimo licznych jeszcze braków, będzie u nas niedługo wprowadzony w użycie. Jest to jedna z lepszych maszyn, o wiele przydatniejsza niż np. kombajn do buraków cukrowych, który stoi opodal... I okazuje się, że nieuprzejmy początkowo rozmówca jest świetnym, zapalonym „cicerone” po hali maszyn.

Janek Wujcik będzie niedługo zdawał egzamin z ciągników rolniczych, przyszedł więc tutaj przebiegnąć to i owo. Od Janka można się dowiedzieć wielu rzeczy: że przeważająca część tych maszyn nie jest jeszcze wprowadzona w użycie, bo nie zdały one jeszcze wszystkich próbnych egzaminów; że tutaj, w tym Instytucie, przy współudziale studentów prowadzi się nad nimi próbną doświadczenia; a w końcu, że jedną bardzo ciekawą i użyteczną maszynę do wygrywania roślin rzędowych wynalazł inżynier Karwowski.

— U nas w POM jest jeszcze bardzo niewiele tych nowoczesnych urządzeń...

A właśnie: „U nas w POM” — tym zaczyna i kończy Janek wszystkie swoje wywody. Wydaje nam się, że ten krep, jasny blondyn o niebieskich oczach, rączy z nami, laikami, mówić tylko dlatego, że temat jest dla niego ciekawy. Bo maszyn i wieś — to pasjonujące go zagadnienia. A przecież na wydziale mechanizacji rolnictwa dostał się Janek przypadkiem. Szybko jednak doszedł do wniosku, że niczego innego nie chciałby studio-

wać. Jest już na III roku, studia są bardzo interesujące, ale teraz coraz niecierpliwiej oczekuje, żeby je skończyć — pojechać na wieś.

Ale czy wszyscy koledzy są tego zdania? Oj! Dotknęliśmy niebezpiecznego i drażliwego tematu. Janek zaperł się; jest czerwony jak burak: „Są u nas i warszawiacy”. Pierwszy raz słyszymy określenie mieszkańca stolicy wypowiedziane tak pogardliwie. Jak dowiadujemy się, tym mianem na wydziale Janka określa się takich, którzy pracy w POM boją się jak diabła i ze wszystkich sił walczą o urzędnicze posadki w Centralach i Ministerstwach, byle tylko pozostać w Warszawie.

A tam, w POM, czeka ogrom pasjonującej pracy! Przecież zeszłorocznym absolwenci — nawiasem mówiąc pierwsi absolwenci wydziału tego typu — Marian Makowski, Lucjan Latusek, albo Gordon — opowiadali że w POM boją się jak diabła i ze wszystkich sił walczą o urzędnicze posadki w Centralach i Ministerstwach, byle tylko pozostać w Warszawie.

czyż nie wspaniała jest praca takiego starszego mechanika, który samodzielnie kieruje całą armią ludzi, prowadzi szkolenia fachowców, rozpoznaje teren, widzi jak dzięki jego pracy wieś, powoli zmienia się w rozkwitającą polną fabrykę zbóż, pasz, surowców — tak bardzo potrzebnych krajowi. Kolega Wujcik opowiada też jak to właśnie nasi, polscy inżynierowie, wynaleźli sposób przystosowania radzieckiego kombajnu zbożowego do niskiego pokosu zbóż.

Tak, praca inżyniera — specjalisty mechanizacji rolnictwa — jest niezwykle ciekawa. Ale nie dla maminsynków, którzy boją się odciąć od miejskiego bruku i nie widzą niczego poza czubkiem własnego nosa. Na wydziale mechanizacji rolnictwa studiuje jednak przede wszystkim zapaleni, podobni do Janka. I Kazik Goć — opalony na „murzyną”, Władek Greniuk i Ola Stankiewicz z III roku, Gustek Szymczyk i Michał Żuk z II roku i wielu, wielu innych, którzy potrafią pokochać trudny, często pionierski zawód.

Jeżeli chodzi o warunki materialne pracy w POM to — zdaniem Janka — „nie są najgorsze”. Łucek Latusek pisał z POM na Ziemi Lubuskiej, że już dziś zarabia około 1.800 złotych miesiecznie. Również i mieszkanie, wprowadzając po pewnych kłopotach, otrzymał ładne. To samo donoszą i inni absolwenci, których dostojnie „wyrzucono sobie” na Komisji Przydziału Pracy — tak bardzo potrzebuje ich wieś.

Miarowy stukot kół pędzącego pociągu — zwłaszcza wśród nocy usypiająco — zwykłe podróży do domu. Ale jak tu spać, kiedy tyle myśli tłoczy się w głowie? Jak to będzie na tej uczelni?

Czy potrafię znaleźć wspólny język z nieznanymi mi ludźmi? No, a przede wszystkim, czy poddam obowiązkowi, jakie mnie tam czekają? — Tak rozmyślał Olek Bernatowicz jadąc w sierpniu ubiegłego roku na studia do Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie.

A miał podstawy do obaw. Ukończył bowiem technikum rolnicze, które co prawda uczyło zawodu, ale dawało nieco słabsze wykształcenie ogólne, niż zwykła szkoła średnia. Miał więc w przygotowaniu do wyższych studiów pewne braki, które na pewno dadzą mu się we znaki na uczelni.

Ale co, inaczej przecież nie mógł. Być może, że wolałby nawet pójść do szkoły ogólnej, wcale go specjalnie do rolnictwa nie ciągnęło. Chciał się przede wszystkim uczyć, ale że warunki rodzinne miały trudne, wybrał tę szkołę, która znajdowała się najbliżej — technikum rolnicze.

*

Rortowo — to chyba najpiękniejsza dzielnica akademicka w Polsce. Położona nad malowniczym jeziorem, otoczona dużym parkiem. Dodajmy do tego jeszcze czerwiec i piękna, słoneczna pogoda, a nie będziemy się dziwić, że studenci opuszczają jasne pokoje w nowo-wybudowanych domach studenckich i wyruszają gromadnie na skrypta i książki pod pachą na rozciągające się dokoła łąki. Co kilka-następie kroków można tam spotkać trzy, czteruosobowe grupy, a często zdarzają się i dwuosobowe „kolektywy” charakteryzujące się tym, że zawsze dobierają się w myśl reguły: on i ona.

Ten prawie „owczy pęd” na łąki ma również swoje uzasadnienie... naukowe. Otóż na wydziale rolnym i zootechnicznym trzeba zdawać egzamin z znajomości łąk i traw — jest to chyba jeden z najciekawszych i najważniejszych obecnie przedmiotów. Aż żalozrość bierze, jak ci opaleni chłopcy potrafią nazywać i określić każdą trawę, rozróżnić w niej dziesiątki odmian. „Zwykły” człowiek idzie po takiej łące i nawet nie widzi różnicy między jedną kępą trawy, a drugą, a już nie wie o tym, że każda z nich ma swoje przeznaczenie, że oddaje nam wielką, a może odda- wać jeszcze większą pożytek.

Nie łatwo się tego nauczyć. Sama książka tu nie wystarczy — trzeba umieć w praktyce rozpoznawać „żywe” trawy. Zresztą na WSR nie tylko z trawami: trzeba się zetknąć osobiście. Pomagają w tym obszerne poletka doświadczalne, własne kurniki, chlewnie i częste wyjazdy studentów na wieś. Korzyści z tych wyjazdów są zresztą dwustronne: studenci pogłębiają swoje wiadomości z wykładów i podręczników, a jednocześnie uczą chłopów wprowadzać najnowsze metody uprawy roli.

Właśnie niedawno studenci olsztyńskiej WSR zaczęli przygotowywać drugą studencką konferencję teoretyczną na temat: „Rezerwy w produkcji rolniczej, ich uruchomienie i znaczenie ekonomiczno-polityczne”.

Oto grupa robocza przy zakładzie gleboznawstwa wyjeżdża po raz pierwszy do spółdzielni produkcyjnej Królikowo. Zadanie — wykonanie map glebowych na obszarze 180 ha. Za nią wyruszyły ekipy zakładów łowiectwa, hodowli bydła i inne. Działalność tych pierwszych trzech zakładów jest zresztą nierozłącznie ze sobą związana. Niepodobna przecież zbadać wydajności łąk bez znajomości gleby, tak samo jak nie można ustalić, która rasa bydła najlepiej nadaje się do hodowli na danym terenie, jeśli uprzednio nie rozpozna się stanu łąk i pastwisk.

Pochylają się więc plecy studentów i naukowców nad czarną, pulchną ziemią. Dźwiczę łopaty wydobywające próbki gleby, które później na uczelni zostaną szczegółowo zbadane. Gleba kryje w sobie niezmierzone bogactwa. Dotrzeć do nich, nauczyć właściwego ich wykorzystywania przez ludzi, którzy dziś jeszcze nie zawsze widzą drogę do lepszego życia — to cel przewijający wszystkim wyjeżdżającym na wieś ekipom, cel studenckiej konferencji.

Droga ta nie jest prosta. Ileż bowiem trzeba przeprowadzić badań, analiz, żeby dociec źródeł niskiej wydajności gleby; ile trzeba się do tego naczytać lektury, posłuchać nad podręcznikami! Ale po to przecież niejedynemu ojciec przysłał tu swojego syna, po to pracuje i chłop z Królikowa wydobywając z wielkim mozolem te swoje niskie jeszcze plony, aby Moczydło, Bojarski i inni mogli spokojnie i w tak dobrych warunkach studiować.

Aż trzydziści odkrywek zasadniczych wykonała grupa robocza gleboznawstwa, aby określić typ gleby, przeprowadzić analizę jej składu mechanicznego, kwasowości i zawartości próchnicy. Ale za to już dziś wiadomo, że ziemia ta nie jest całkowicie wykorzystywana, że może dawać lepsze plony. Jak tego dokonać — studenci zastanowią się nad tym w swoich pracach na konferencji.

A jak wygląda sprawa łąk i pastwisk, które na terenie olsztyńskiego mają tak duże znaczenie w rozwijaniu hodowli? Pierwsze spostrzeżenia z Królikowa wykazują, że łąki użytkowane są zaledwie w pięćdziesięciu procentach. Okazuje się, że i na to jest rada. Już obecnie studenci i naukowcy z WSR przeprowadzają skomplikowane badania składu botanicznego traw, ustalają jakie tereny nadają się na łąki, a jakie na pastwiska, a nie długo założą w gromadzie poletko doświadczalne — „lekcję poglądową” dla rolników o właściwym uprawianiu i użytkowaniu łąk.

Bo wykrycie rezerw to jeszcze nie wszystko. Każdy rodzaj gleby wymaga innego systemu uprawy, innego płodozmiennu. Chłopi o tym wszystkim nie zawsze dobrze wiedzą, zresztą skąd mogli wiedzieć? Przecież i Olek, choć sam ze wsi, „zmadrzał” dopiero teraz na uczelni. Dopiero tu zobaczył ogromną różnicę między możliwościami gospodarki chłopskiej, a jej obecnym stanem.

Olek pracuje z grupą roboczą gleboznawstwa i myśli o tym, jak przekonać ojca i chłopów z Królikowa, jeszcze trochę nieufnie, z boku przyglądających się pracy studentów. Kto wie, czy nie o tym samym



„Owczy pęd” na łąki ma również swoje uzasadnienie naukowe.

myślał Wocławek z I rolnego, Bań- czyszyn, Jarubas z II i inni, kiedy dźwigając po kilka kilogramów ziemi wracali na uczelnię. Zapewne niejedynemu z nich tak jak Olek dopiero podczas tych wyjazdów zdał sobie sprawę z całej odpowiedzialności i piękna pracy, którą mu powierzono. Od ich wiedzy, (wprawdzie jeszcze skąpej) rąk, zależy w dużej mierze dobrobyt mieszkańców Królikowa, a być może całego powiatu, czy województwa.

Podobnie myśli Edek Siemion z II roku zootechniki, który również pochodzi ze wsi białostockiej. Kieruje on pracą ekipy przeprowadzającej badania i pomiary ras bydła. I tu jest bardzo wiele do zrobienia. Zakład zamierza bowiem, wyhodować taki gatunek krów, który przewyższyłby pod każdym względem osławioną rasę holenderską. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że zamierzenie to jest bardzo realne.

Tak to wyjazdy w teren pozwalają lepiej i pełniej widzieć swoją przyszłą pracę. I tylko pomyśleć... marzyło się o wielkich czynach, o tym, żeby zmieniać świat i marzenia wydawały się jakieś mgliste, dalekie, nierealne. A tu już w jej chwili, na I czy II roku studiów w bardzo konkretny sposób można je

wprowadzać w życie. I można dalej marzyć, jak te rezultaty żmudnych, skomplikowanych badań i poszukiwań, zebrane i opracowane powędrują gdzieś w przyszłym roku do wszystkich gospodarstw w kraju, i jak nie tylko w Królikowie, czy Jemiołowie, chlerlawe krowy zamienią się w rasowe, wysokomleczne bydło, jak anemiczne wółki pastwiska i łąki pokryją się bujnymi, łoszczącymi zielonością trawami, jak wreszcie kłosa zbóż będą uginąć się pod nadmiarem ziarna. Tym razem są to marzenia bardzo bliskie i bardzo realne.

A przy nich coraz bardziej jasny staje się cel studiów, dojrzewa postanowienie. Olek po ukończeniu uczelni pójdzie na wieś, będzie ją przebudowywał — tak właśnie powiedział — przebudowywał. Żeby zniknęła z niej całkowicie ciemnota i zacofanie, żeby rolnik nie musiał tak ciężko pracować jak jego ojciec.

Na razie trzeba jeszcze dużo się uczyć. Olek Bernatowicz, Edek Siemion, Wocławek zaliczają ćwiczenia i kolokwia bieżącej sesji na piątki i czworki.

Inżynier-ekonomista

Na czym trzeba się znać, aby móc pracować na kierowniczym stanowisku w wielkim gospodarstwie rolnym? Odpowiedź wydaje się jasna — na rolnictwie. Jednak jeśli zastanowić się nad nią głębiej — to sprawa przestaje być taka prosta. Bo trzeba się znać na glebach, na uprawie, nawożeniu, pielęgnacji roślin, na maszynach rolniczych, hodowli, ogrodnictwie itp. Mamy niejedną PGR, gdzie są dobrzy fachowcy, agronomowie i zootechnicy, a jednak praca kuleje. Podobnie dzieje się w przemyśle. Istnieje np. pewna fabryka obrabiarek, która wypuszcza maszyny znane ze swej jakości nawet i poza granicami naszego kraju. Fabryka ta ma doświadczoną załogę, dysponuje nowoczesnym parkiem maszynowym — a mimo to nie wywija się w całości ze swych zadań planowych. Jakże się tego przyczyni?

Przypatrzmy się nowoczesnemu gospodarstwu rolnemu. Są u nas już zespoły PGR zwane „Państwami Pegeerowskimi” o obszarze wielu tysięcy hektarów, gdzie pracują setki traktorów, kombajnów i innych maszyn, gdzie udział w uprawie ziemi biorą nawet... samoloty. W takim gospodarstwie na czoło wszystkich zagadnień wysuwa się sprawa właściwego zorganizowania pracy setek ludzi, ogromnej ilości maszyn i innego sprzętu technicznego. Nie potrzeba zresztą sięgać do przykładów tak wielkich gospodarstw, by wykazać, jak ważną sprawą jest planowanie i właściwa organizacja pracy w rolnictwie.

Na przykład w którymś z powiatów kładzie się nacisk na rozwój hodowli. Czy do tego wystarczy przekonanie chłopów o potrzebie i korzyści, hodowli i dostarczenie rasowych sztuk bydła? Nie, trzeba jeszcze zapewnić odpowiednią ilość paszy, a to pociąga za sobą często konieczność skoordynowania planów rozwoju hodowli z planami melioracji łąk itp. Obok znajomości rolnictwa potrzebna jest również znajomość ekonomiki, potrzebni są nie tylko agronomowie czy zootechnicy, potrzebni są również rolnicy — ekonomiści.

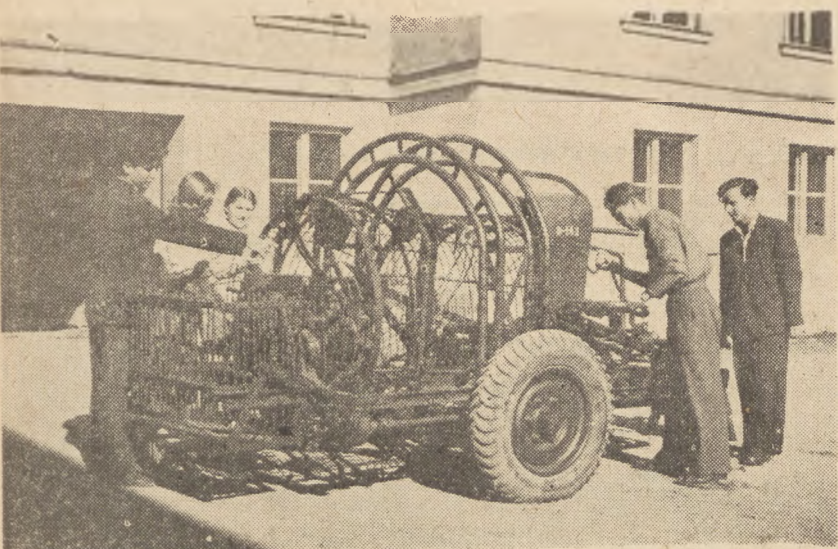
Wróćmy teraz do pierwszego przykładu, do przykładu fabryki obrabiarek. W przemyśle został dokonany ogromny postęp techniczny. Jednak za postępem technicznym nie nadąża postęp organizacyjny, gdyż brak jest odpowiednio przygotowanych specjalistów w tej dziedzinie. Produkcję opartą na naj-

nowocześniejszej technice organizuje się nadal według przestarzałych, rzemieślniczych metod wywodzących się z okresu naszego przedwojennego zacofania.

Aby zaradzić tym brakom przy wielu uczelniach zostały zorganizowane studia inżynierino-ekonomiczne. W SGGW został otwarty wydział ekonomiczny, przygotowujący inżynierów magistrów z dziedziny ekonomiki rolniej. Na studiach tych, obok przedmiotów inżynierino-rolniczych wykładane są przedmioty ekonomiczne, zarówno ogólne jak i bardziej szczegółowe — takie jak statystyka rolna, planowanie rolnictwa, urządzenia socjalistycznych przedsiębiorstw rolnych itp.

Przy kilku wydziałach Politechniki Warszawskiej otwarto również oddziały inżynierino-ekonomiczne. Oddziały takie przy wydziale mechanicznym — technologicznym wypuściły wkrótce pierwszych magistrów-inżynierów — ekonomistów w zakresie budowy maszyn. Przed fachowcami tego typu stoi otworem wiele możliwości pracy zarówno w przemyśle, gdzie ich pole działania jest bardzo szerokie, jak również w pracy naukowo-badawczej i to zarówno w kierunku technicznym jak i ekonomicznym.

Te nowe, niezmierznie ważne dla naszej gospodarki, a jednocześnie bardzo ciekawe studia, czekają na kandydatów, którzy obok zainteresowań szczegółowych (rolnictwem, mechaniką, chemią itp.) chcą kształcić się w naukach społecznych, przede wszystkim ekonomicznych.



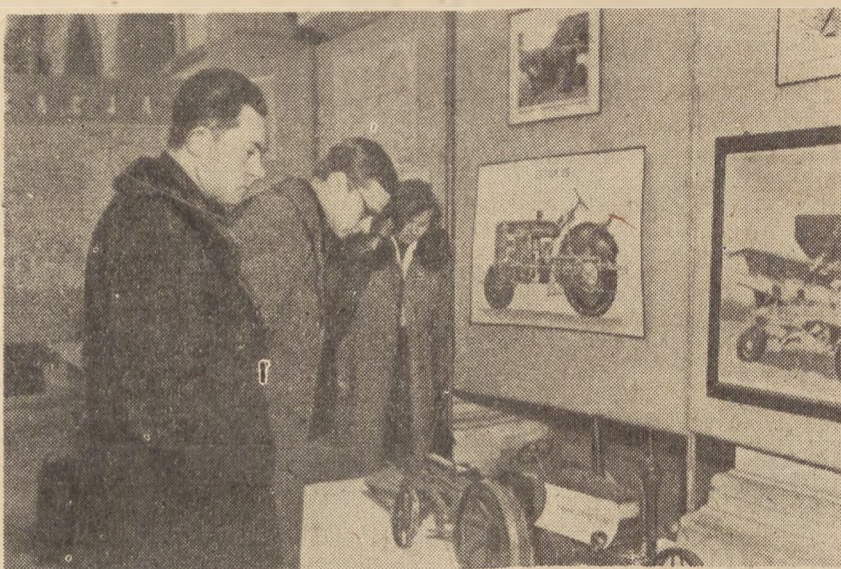
Czy wiecie, że na tym zdjęciu oglądacie „trzy jedynaczki”? Dwie z nich to koleżanki z wydziału mechanizacji i elektryfikacji rolnictwa, gdzie „jedyńcażkami” nazywa się wszystkie, nieliczne tam koleżanki. Ale za to ta skomplikowana maszyna jest prawdziwą jedynaczką — w całej Europie, a może i na całym świecie. Jest to skonstruowany przez prof. Karwowskiego z Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa wyrywacz do roślin rzędowych, który jak dotąd dzielnie zdaje wszystkie próbne egzaminy.

(Foto A. Marczał)



Kiedy robiliśmy zdjęcie, na tej tablicy wisiał dopiero pierwszy meldunek z sesji. Ale w chwili, gdy przeglądacie nasz numer, tablica jest już na pewno pełna. Między innymi będą już wyniki egzaminu z matematyki, do którego tak pilnie przygotowywali się powyżsi pierwszorzecznicy z wydziału mechanizacji rolnictwa.

(Foto A. Marczał)



Czego można się nauczyć i jaki zdobyć zawód na wydziale mechanizacji rolnictwa — tego dowiedzieli się liczni goście-maturzyści zwiedzający ciekawą wystawę pt. „Wybieram zawód”. Na tej wystawie zorganizowanej przez Politechnikę Warszawską niejedną z tegorocznych maturzystów postanowił zostać właśnie inżynierem — mechanizatorem rolnictwa.

(Foto A. Musiał)

Już w następnym numerze
„TAJEMNICE
BOMBY WODOROWEJ”

Nie będą wśród obcych

W sierpniu, jak każdego roku, korytarze i sale naszej uczelni zapelnia się kandydatami na pierwszy rok studiów rolnych. Przeważająca ich część to ludzie „z terenu” — z województwa krakowskiego, rzeszowskiego, stalino-grodzkiego — młodzi, „świeżo upieczeni” maturzyści. Wielu z nich jeszcze w ogóle nie było w Krakowie, przeraża ich tajemniczy labirynt ulic, a termin „wyższa uczelnia” przejmie nieraz lekko i niepokojem. Jak to będzie? Czy też spotkam kogoś znajomego, czy będę zupełnie sam wśród obcych?

Nie będzie u nas, wśród studentów, obcych. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że duża część kandydatów na studia rolne już teraz, przed maturą, przekonana się „jak to będzie”, poznała swoich przyszłych profesorów, asystentów i kolegów. Mianowicie w połowie maja odbyło się spotkanie kandydatów na pierwszy rok studiów rolnych z pracownikami naukowymi i studentami naszej WSR w Krakowie.

Mówiło się o tym już na długo przed terminem spotkania — wszystko trzeba było przecieżyć przygotować na przyjęcie gości. Wystawiliśmy zaproszenia. Ale do ostatniej chwili odczuwaliśmy niepokój — czy impreza wypadnie jak należy? Czy uda się?

Udało się. Strona organizacyjna została doskonale rozwiązana dzięki staraniom naszego rektora — ob. J. Kubicy, kierownika toku studiów — mgr. Mazurackiego i mgr. Kielka, oczywiście przy aktywnej pomocy studentów.

Już od sobotniego południa, kiedy to spodziewaliśmy się pierwszych gości, w świetlicy Dworca Głównego został założony punkt informacyjny, gdzie pełnili dyżur studenci i asystenci. Tam nasi goście zgłaszali się wprost z pociągów, otrzymywali skierowanie do mieszkania, bloczki żywnościowe na dwa dni i informacje o programie przyszłego dnia. Dyżurny DS wyznaczał im pokoje, w których mieli mieszkać: łóżka dla gości zostały ustawione do pokoi zamieszkałych przez naszych studentów, co doskonale ułatwiło nawiązanie bezpośrednich znajomości.

W niedzielę nastąpiło właściwe, już „oficjalne” spotkanie. Po wspólnym śniadaniu specjalna grupa studentów — opiekunów zaprowadziła gości do gmachu uczelni, gdzie bardzo serdecznie przemówił do nich nasz rektor. Następnie kandydaci wystuchali krótkiej pogadanki na temat warunków życia młodzieży naszej uczelni, a potem rozpoczęto dyskusję.

I tutaj uwidoczniły się pierwsze wyniki naszych starań. Goście wcale nie czuli się obco, bo ledwie ob. dziekan powiedział: „otwieram dyskusję” — od razu kilka rąk podniosło się do góry. Pytali śmiało, interesowali się warunkami studiów, egzaminami, kierunkami na poszczególnych wydziałach, a nie rzadko nawet studiami magisterskimi. Dyskusję nieestetycznie trzeba było przerwać i odczołgać na popołudnie bo chcieliśmy zaprowadzić gości na stadion Kolejarza, gdzie odbyła się II Spartakiada naszej WSR.

Po obiedzie i wypoczynku dokończyliśmy dyskusję. Wszystkie wątpliwości zostały chyba rozproszone. Jeżeli może ktoś jeszcze się wahać — iść na to rolnictwo, czy nie —

to jesteśmy pewni, że właśnie wtedy zdecydował się ostatecznie. Oponowaliśmy naszym przyszłym kolegom wszystkim, co mogło ich zainteresować.

Po dyskusji goście uczestniczyli w uroczystym rozdaniu nagród i dyplomów zwycięzcom II Spartakiady WSR, co było połączone z występami artystycznymi. Tak więc goście usłyszeli oktet WSR, który swymi piosenkami zyskał sobie ogromne powodzenie, zobaczyli świetną ślaską w wykonaniu naszego baletu. Zobaczyli wreszcie (jako przedsmak swoich przyszłych przygod), jak to bywa, kiedy studenci WSR wyjeżdżają na wakacyjną praktykę: program ten wykonany przez przedującą w pracy artystycznej na naszej uczelni I grupę II roku zootechniki ogromnie się podobał.

Na zakończenie tego pięknego dnia do późnej nocy wesoło bawiliśmy się wraz z gośćmi. W poniedziałek my, studenci, uróczyliśmy na wykłady i ćwiczenia, a goście przystąpili do zwiedzania uczelni — zakładów naukowych, laboratoriów, hali maszyn itd., poznając przy tym naszych profesorów i asystentów. W końcu odbyło się jeszcze specjalne spotkanie kandydatów z profesorami, z którymi spotykają się przy egzaminie wstępnym. W przyjaznej i swobodnej atmosferze profesorowie omówili zakres materiału i sposób przeprowadzenia egzaminów, a goście upewnili się, że egzamin wstępny to nie straszne — trzeba się tylko przygotować.

Jak wynikało z rozmów, uczniowie II klas bardzo słabo orientują się w kierunkach swoich przyszłych studiów. Wybór kierunku studiów dokonuje się często na chybił-trafił, według chwilowych upodobań czy sugestii. Zdarza się też tak, że młody człowiek po prostu nie wie co wybrać, podoba mu się i to i tamto, ale ostateczną decyzję trudno podjąć. Należałoby mu pomóc, umożliwić zapoznanie się z pracą na tym czy innym wydziale.

Uważam, że duże znaczenie ma tutaj poznanie pracy na uczelni, gdyż ona właśnie zdolna jest rozbudzić zainteresowania wśród niezdecydowanych. Kandydaci powinni też wziąć udział w kilku wykładach najbardziej charakterystycznych dla danego kierunku studiów, aby przekonać się czy rzeczywiście im to odpowiada.

Wszystko to powinno być zorganizowane w formie stałego kontaktu wyższej uczelni ze szkołami średnimi, możliwie jak najwcześniej przed wypełnianiem ankiet wpisowych na wyższe studia, a więc już od listopada czy grudnia danego roku. Takie właśnie wnioski nasunęły się nam po pierwszym spotkaniu z kandydatami na naszą uczelnię.

ANNA BOHDANOWA
WSR — Kraków

KIERMASZ książki naukowej

Z planu wydawniczego PWN

FILOZOFIA

W ramach Biblioteki Klasyków Filozofii: — Elementy logiki formalnej, I. Krolski — Wykłady z historii filozofii starożytnej, E. Dembowskiego — Wybór pism, A. Cornu — Proba krytyki marksistowskiej, A. Schaff — Odkrytywny charakter praw historii.

Wybór tekstów źródłowych w zakresie uniwersyteckiego programu historii filozofii. Przekład radzieckich podręczników logiki, etyki, estetyki. Zbiór wydanie dzieł S. Czarnowskiego (historia filozofii i myśli społecznej). Wybór pism filozoficznych M. Smoluchowskiego i L. Krzywickiego. Monografia o Jędrzej Śniadeckim.

HISTORIA

Brożek i Przyłuski — Wybór pism (historia postępowej polskiej myśli naukowej), St. Smolka — Mieszko Stary i jego wiek, W. Tokarz — Pisma pomniejszych z XVIII wieku, M. Malowist — Studia z dziejów rzemiosła w Europie Zachodniej w dobie kryzysu feudalizmu w wieku XIV i XV. Przekład radzieckiego podręcznika Historii ZSRR (t. II).

Pisma wybrane: F. Bujak, R. Grodecki, J. Ptasnik, K. Potkowski, J. Rutkowski, K. Tymieniecki.

PRAWO

S. Erlich — Ustrój Związku Radzieckiego, R. Taubenschlag — Historia i instytucja prawa rzymskiego na tle praw antycznych, H. Świątkowski — Zagadnienie prawne spółdzielczości produkcyjnej w rolnictwie. Wybór dokumentów z prawa międzynarodowego. Wybór tekstów źródłowych z historii państwa i prawa polskiego (t. III i IV).

EKONOMIA POLITYCZNA

O. Lange — Ekonomia kapitalistyczna na obecnym etapie imperializmu, T. Lichowski — Podstawy obrotu międzynarodowego, J. Rosenberg — Historia ekonomii politycznej, A. Smith — Bogactwo narodów, J. Sismondi — Nowe zasady ekonomii politycznej.

FILOLOGIA POLSKA I OBCA

T. Lehr-Spławiński, I. Urbanczyk i Z. Klemensiewicz — Gramatyka historyczna języka polskiego, S. Słonski — Historia języka polskiego XVIII wieku, K. Kumaniński — Historia kultury starożytnej Grecji i Rzymu. Gramatyka historyczna języka rosyjskiego, Gramatyka opisowa języka rosyjskiego, Słowniki: rosyjsko-polski, grecko-polski, łacińsko-polski.

MATEMATYKA

F. Leja — Rachunek różniczkowy i całkowy, A. Mostowski i M. Stark — Algebra wyższa (3 tomy), K. Borsuk i W. Szmielew — Podstawy teorii mnogości, Rachunek prawdopodobieństwa i statystyka matematyczna, L. Winogrodow — Podstawy teorii liczb, W. Świątkowski — Równania różniczkowe, F. T. Whittaker — Dynamika analityczna, St. Banach — Rachunek różniczkowy i całkowy.

FIZYKA, ASTRONOMIA

W. Rubinowicz, W. Królkowski — Mechanika teoretyczna, Cz. Białobrzęski — Termodynamika, S. Szczepaniak — Elektryczność i magnetyzm, W. Shockley — Elektronika i atomy, E. Rybka, W. Zonn — Astronomia ogólna.

CHEMIA

J. Suszko — Chemia organiczna, A. Czizibabin — Podstawy chemii organicznej, J. Kaczmarekiewicz — Chemia związków węgla, W. I. Iwanow — Związki chemiczne, J. Kowalski, S. Rosinski — Chemia i technologia węgla brunatnego, J. Gilewicz, J. Rosochowicz — Emulsje.

GEOGRAFIA

S. Lencewicz — Geografia fizyczna Polski, B. Dobrynin — Geografia fizyczna Europy Zachodniej, Geografia Polski — Praca zbiorowa, J. Kunsky — Blokady, B. Grabczewski — Podróż geogr. B. Grabczewskiego po Azji Środkowej.

BIOLOGIA

J. Dembowski — Wstęp do biologii, O. Dawitashvili — Rozwój ewolucyjnej paleontologii, P. Strenezyk — Jak pracuje żywy organizm, B. Zabłocki — Podstawy chemii bakteriologicznej, Zoologia dla wyższych szkół rolniczych — Praca zbiorowa, Embriologia (podręcznik uniwersytecki) — Praca zbiorowa, G. A. Szmidi — Embriologia zwierząt, M. Kerczewski — Fizjologia roślin, R. P. Krenkel — Regeneracja roślin, Szata roślinna Polski — Praca zbiorowa.

NAUKI TECHNICZNE

K. Zarankiewicz — Mechanika ogólna, W. W. Sokolowski — Teoria plastyczności, R. Kurowski, M. Niedziński — Wytrzymałość materiałów, J. B. Vignola — Prawo pięciu porządków architektury, P. Witruwiusz — O architekturze, W. Biernawski — Teoria obróbki metalu skrawanych, B. Dubicki — Maszyny elektryczne, W. Krukowski — Liczniki energii elektrycznej, B. P. Asiejew — Podstawy radioelektryki.

Życie NASZYCH UCZELNI

ZAPOZNAJEMY MŁODZIEŻ SZKOLNĄ ZE STUDIAMI

W celu bliższego zapoznania kandydatów na studia rolnicze z ich przyszłym zawodem, w dniu 15 i 16 maja rektorat UMCS w porozumieniu z wydziałami oświaty w Lublinie, Kielcach i Rzeszowie zorganizował spotkanie naukowców i studentów wydz. rolnego i zootechnicznego z młodzieżą klas jednastych.

W niedzielę wysłuchano przemówienia rektora UMCS prof. dr B. Dobrzańskiego i przedstawicieli wydz. rolnego prof. mgr inż. P. Szewczyka. O zawodzie inżyniera-rolnika mówili również przewodniczący spółdzielni produkcyjnej „Elizówka” M. Łuski, oraz przedstawiciel absolwentów wydz. rolnego inż. A. Fijewski, pracownik POM w Kłowie Wielkiej.

W godz. popołudniowych odbyła się wycieczka do Sławina, a następnie wieczornia uroczysta bogata częścią artystyczną.

W poniedziałek uczestnicy spotkania zwiedzili rolniczy zakład doświadczalny oraz zakłady naukowe wydz. rolnego i zootechnicznego, zapoznali się z pracą w PGR i POM, obejrzeli uniwersyteckie majątki doświadczalne — Felin i Sławin.

Nie wiemy jeszcze jakie będą rezultaty tego spotkania. Na razie wzбудziłyśmy wielkie zainteresowanie.

NARCYZA GUMENIAK
UMCS — Lublin

KRAKÓW — WROCŁAWOWI

Pod takim tytułem studenci Politechniki Krakowskiej zorganizowali dla nas wspaniały koncert. Wzięli w nim udział: chór męski i mieszany, soliści, zespół taneczny oraz recytatorzy.

O tym, że występ podobał się naszym studentom świadczyły długie niemiłkające oklaski, i częste wołania o „bis”. Najwięcej zebrali ich kol. Lidia Bieniarz (sopran) za



„Czardasza” Lehara i „Liryczną piosenkę” Milutina oraz kol. Wiesław Brychey (bas) za arię Skoluby z opery „Straszny Dwór”.

Z tańców najlepiej chyba wypadł „Krakowiak” wykonany z iscie kłaskową werwą i temperamentem.

Au! opuszczaliśmy z żalem, że koncert trwał tak krótko (tylko 3 godziny). Sądzę, że jeszcze raz należy podziękować naszym miłym gościom za ich występ i życzyć im jak najlepszych wyników w trwającej sesji egzaminacyjnej.

JANUSZ PRZEDPELSKI
Politechnika Wrocławska

Korespondenci KSYGNALIZUJA

„MEMENTO MORI”

W przykrym położeniu znaleźli się studenci Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie. Zabrano im bawic się. Nie wierzyć? Naprawdę tak jest. Uchwałę o zakazie organizowania wszelkich wieczorów i zabaw podjął senat SI, wychodząc z założenia, że studenci powinni przede wszystkim uczyć się, bo tylko nauka może im coś dać, natomiast z wieczorku czy zabawy nikt jeszcze nigdy nic dobrego nie wyniósł.

Nieco innego zdania są studenci i organizacje młodzieżowe, ale kto by się tam liczył z ich opinią, kiedy wyszyscy członkowie senatu zgodnie stwierdzili, że wieczorki studenckie to możliwość awantur, rozlewu krwi, kradzieży, demoralizacji.

Skąd takie opinie, nie udało nam się spytać. Tak więc studenci SI pomni na przykazania dane im przez senat, chodzą z ponurym miną po uczelni i jeśli podziewają się przy spotkaniach to nie inaczej niż słowami: „memento mori”. Choć blisko już do końca roku akademickiego i niewiele pozostało świątecznych dni, w których studenci SI z chęcią pobawiliby się — niemiłe próśmy gorąco senat SI by zeżebrał: zrehabilitować swą siłą i wygnać z murów uczelni klasyczny nastrój.

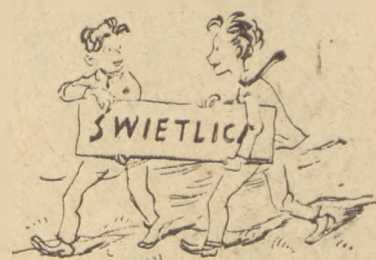
Krzysztof Gaertig
WSE — Szczecin

„JAK CIĘ WIDZA, TAK CIĘ PISZA”

Od miesiąca w KU ZSP przy UMCS w Lublinie poniewierają się na stołach gazetki ścienne przysyłane na konkurs. Z całego uniwersytetu zebrano ich co prawda tylko 7, ale i to można było przed miesiącem wykorzystać. Teraz oczywiście już nie, bo po miesięcznej poniewierze gazetki wcale nie przypominały tych dawnych. Jaki zatem był cel zbierania gazetek — kolektywne PKM?

Dlatego w KU ZSP od pół roku brak kluczy do biurka i szaf. Skutkiem tego

JAK PRACUJE NASZA EKIPA?



Pracę swą zaczęliśmy od tego, że nawiązaliśmy kontakt z PGR Ścienne (pow. Stargard). W jednym z pierwszych wyjazdów wziął udział prof. Gordon, który zaznamił ludność miejscową z przyszłą działalnością naszej ekipy. Każdy wyjazd na wieś, a ma to miejsce regularnie raz w tygodniu, oprócz strony politycznej, tj. odczytów, pogadek na różne tematy, ma swoją część artystyczną. I tak np. zorganizowaliśmy wyświetlanie filmu pt. „Pomysłowy sprzedawca”. Kiedy indziej daliśmy występy tercetu i solistów z wesołą konferansjerką. Po części artystycznej bawiono się na wistolnej zabawie. 9 maja wyjeżdżając ze Szczecina do naszej wsi zabraliśmy ze sobą karabinki sportowe; udział w strzelanicy wzięło przeszło 100 osób. W tym samym dniu rozpoczęto pracę nad zorganizowaniem chóru, do którego zgłosiło się 34 osoby. Przed kilkoma tygodniami otwarto w PGR Ścienne bibliotekę, co wkrótce zostanie zrealizowane. Członkowie naszej ekipy pamiętają także o potrzebach zdrowotnych wsi. Z naszej inicjatywy lekarze z Pomorskiej Akademii Medycznej przeprowadzili tam badania. Ekipa łączności z Wyższej Szkoły Ekonomicznej dzięki swej żywionej działalności zdołała sobie w krótkim czasie zdobyć zaufanie i autorytet u mieszkańców wsi Ścienne.

JAN DEMIANCZUK
WSE — Szczecin

SPOTKANIE Z POETĄ

Obszerna aula warszawskiej WSP była wypełniona po brzegi przez młodych i starszych miłośników poezji Wł. Broniewskiego. Burza oklasków zerwała się, kiedy w drzwiach ukazał się Wł. Broniewski w towarzystwie rektora naszej uczelni prof. dr Kałuskiego. Gorącymi słowami powitał rektor największego współczesnego poety, nieustraszonego „robotnika pióra”, jak nazywa siebie Wł. Broniewski. „Pragniemy Was zapewnić, tow. Broniewski — mówił prof. Kałuski — że my w tej uczelni gorąco kochamy Waszą poezję i żyjemy Waszymi ideałami”.

Z kolei na trybunie stał Wł. Broniewski dziękując za serdeczne powitanie. „Będę mówił wierszem” — powiedział Wł. Broniewski.

Sala zamarla w oczekiwaniu, a po chwili zaczęły rozbrzmiewać rewolucyjne strofy wywołujące powstańców w okresie międzywojennym. Wiersze poety przywodził nam na myśl czas, które pamiętają nasi ojcowie.

Entuzjazm wywołały powojenne wiersze jak „Zabrze”, „Most Poniatowskiego”.

Mówią one, że jest w naszej Ojczyźnie „radość i śpiew”, o których z wiarą pisał poeta przed wojną.

JAN KITA
WSP — Warszawa

Korespondenci KSYGNALIZUJA

biurko kierownika Wydz. Warunków Studiów jest stale otwarte. Każdy kto chce przegłądać papiery, podania i akta poszczególnych członków ZSP.

Czyby kierownik Wydz. Warunków Studiów nie znał obowiązku przestrzegania tajemnicy służbowej?

Wanda Randas
UMCS — Lublin

SAMI CHCEMY ZADECYDOWAĆ

Zespół III roku wydziału architektury Politechniki Krakowskiej po uścisłej pracy i dobrym przygotowaniu zajął zaśluzone pierwsze miejsce w tegorocznych śródrocznych eliminacjach grup agiliacyjno-artystycznych. Z wielką radością przyjęliśmy uroczyste ogłoszenie w MKS wiadomość, że KO ZSP przyznała nam nagrodę pieniężną.

Na zebraniu zespołu rozpatrywaliśmy kilka projektów zużycowania nagrody. Kupić książki dla wyróżniających się kolegów? Zorganizować wieczorek artystyczny? Najbardziej spodobał się nam projekt zorganizowania wspólnej wycieczki.

Komisja Okręgowa ZSP ma jednak inne zdanie. Dla odebrania nagrody musimy złożyć wniosek na piśmie, a po zaakceptowaniu KU ZSP zakupi biblioteczki, z której będziemy mieli prawo korzystać (!). A więc o nagrodę za swoją pracę trzeba pisać prośbę! Kolegom z Komisji Okręgowej nie mieliśmy wprost w głowie, że może się coś odbyć bez „zatwierdzenia”. Największy argument ze „tak uchwalili KO ZSP i nie ma o czym dyskutować” wcale nas nie przekonywał.

Sadziemy, że mamy prawo dysponować swą nagrodą i chcielibyśmy ją otrzymać w takiej formie w jakiej została nam przyznana.

Sławomir Podolak
Politechnika Krakowska

Marysia postaraj się!



4,05 wynosił pierwszy rekord Polski w skoku u dał kobiet. Ustanowiła go Smedziukówna w 1922 r. W roku 1937 Walasiewiczówna jako pierwsza kobieta świata przekroczyła granicę 6 m, osiągając 6,02 m, a w roku 1938 — 6,04 m. I wtedy został ustanowiony rekord Polski, który utrzymuje się do dziś.

A w tym czasie w Czchowie pod Tarnowem, licząca półtora roku Marysia Kusion stawiała pierwsze kroki na podwórku małego gospodarstwa ojca. Trudno się od niej dziś dowiedzieć czy już wtedy lubiła biegać i podskakiwać — pewnie jest, że już jako „poważna” 15-letnia uczennica Szkoły Handlowej w Tarnowie pokochała lekkoatletykę, a szczególnie skoki i bieg. A warunki miała doskonałe: 165 cm wzrostu, długie, umięśnione nogi i wielki zapal do pracy nad sobą. Jako zawodniczka ZS Stal w Tarnowie osiągnęła w skoku u dał 5,28 m, i po zdaniu matury opuściła Tarnów, udając się do krakowskiej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego na I rok studiów. Tutaj otrzymała dobre warunki treningowe — opiekował się nią mgr Emil Dudek i zaczęli razem pracować nad każdym centymetrem i każdym utamkiem sekundy.

Stadion krakowski „Ogńia” należał do cichych. Uczestnicy Spartakiady Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego zebrał się przy skoczni — trener Dudek przysiadł się z daleka. Kusionówna stanęła na rozbiegu. Krótki, szybki bieg, piękne wybiecie i... za chwilę Marysia wędrowała do szatni na rękach kolegów. 5,92!!! Przez cały wieczór na WSWF o niczym innym nie mówiono. „Encyklopedie Sportowe” wyliczyły, że Marysia osiągnęła trzeci tegoroczny wynik na świecie, że wstępuje tylko Dwaliszwili (6,25) i Czudinie (6,23) i, że do rekordu Polski brakuje jej tylko 12 cm. Wymazać z tabeli 16-letni re-

kord Walasiewiczówny to największe marzenie 17-letniej Marysi. Rekord i sesja. A właściwie sesja i rekord.

Przodownica nauki i pracy społecznej I roku WSWF umie gościć naukę z treningami i zajęciami sportowymi. Najlepszym tego dowodem jest chyba 5,92 m, dwie piątki w sesji zimowej i bardzo dobrze z anatomii w sesji letniej. Następnym egzaminem to start w Międzynarodowych Zawodach Lekkoatletycznych 19 i 20 czerwca w Warszawie.

— Podobno mają być Dwaliszwili, Czudina, Gyarmati i oczywiście krajowe rywalki: Duńska, Iwicka. A najbardziej boję się reprezentacyjnej koszulki z orłem — mówi Marysia. — Boję się, bo to przecież wielka odpowiedzialność. Tak bym chciała w Warszawie przekroczyć sześć metrów. Nie zawsze wychodzi mi rozbieg, ale mam nadzieję, że gdy dojdę do... 30 lat nie będę „pauz” skoków i wiele się nauczę.

Na pewno Marysiu! Nauczysz się jeszcze wiele i osiągniesz dobre wyniki, jeżeli będziesz tak na nie pracować, jak pracowałaś dotąd. Przekonałam się, że w Warszawie godnie będziesz reprezentować polski sport studencki, że dasz z siebie wszystko, a my Ci od siebie życzymy, żebyś skoczyła 6 metrów. Albo nie sześć, 6,10! Żebyś padła nareszcie ten rekord młodszy od Ciebie tylko o pół roku. Postaraj się Marysiu! Wszyscy trzymamy palce.

ANDRZEJ GABRYS

Poważny PAN a sport

W tym punkcie Warszawy, gdzie Nowy Świat zbiega się z Krakowskim Przedmieściem, tuż za pomnikiem Kopernika rozsiadł się wygodnie potężny gmach z napisem: „Societas Scientiarum Varsoviensis. Na rzębiach, okutych drzwiami widnieje tabliczka: Polska Akademia Nauk. Przysnam się, że przekraczając progi PAN, aby napisać coś o sporcie w tej instytucji, czulem się mocno zaniepokojony.

— Co ma PAN do sportu! — powiedział mi — myślałem. — A to się wybrał! — Zupnie tak, jakby ktoś przyszedł... do sklepu z konfekcją i próbował tu koniecznie kupić wody — snulem pełne obaw rozważania.

Tymczasem zaraz na wstępie w obszernym hallu rzucił mi się w oczy napis:

„Kolo Sportowe przy Polskiej Akademii Nauk przyjmuje zapisy koleżanek i kolegów do sekcji siatkówki, szachowej i tenisa stołowego. Komitet Organizacyjny Kola”.

Tego się nie spodziewałem. Znałem nam jest, choćby z felietonów, które zamieszczamy w POPROSTU, zainteresowanie niektórych naukowców sportem, ale żeby w PAN istniało kolo sportowe, to przechodziło najsmielsze oczekiwania. Okaza-

Budapeszt w czerwcu. Tegoroczne XII Letnie Akademickie Mistrzostwa Świata odbędą się w stolicy Węgier w dniach od 31 lipca do 6 sierpnia. Komitet organizacyjny Mistrzostw, na czele którego stanął przewodniczący Węgierskiego Komitetu Kultury Fizycznej (OTSB), Gyula Hegyi, zakończył wstępne prace przygotowawcze, a w tej chwili otrzymuje już pierwsze zgłoszenia. Węgierska zapowiedziała przyjazd do Budapesztu 125 sportowców-akademików zgłosili się już także studenci indonezyjskiej reprezentacji szkieletu uniwersyteckiego w Glasgow.

Stolica Węgier starannie przygotowuje się na przyjęcie uczestników Mistrzostw. Uroczystość otwarcia i zamknięcia Igrzysk Akademickich przeprowadzona zostanie na potężnym, mieszczącym przeszło 90.000 widzów Nép Stadionie (Stadionie Ludowym), na którym przed kilkunastu dniami obserwowaliśmy wielki mecz piłkarski Węgry — Anglia (7:1), a potem międzynarodowe zawody lekkoatletyczne (w których Sidor i Radziwonowicz odnieśli piękne podwójne zwycięstwa dla naszych barw w oszczepie, a Chłomik ustanowił rekord Polski na 5000 m). Tu, na Nép Stadionie, rozegrane będą także konkurencje lekkoatletyczne Mistrzostw, niektóre spotkania piłkarskie, zaś wieczorem w dniach 1-7 sierpnia turniej bokserski.

Dla piłkarskiego turnieju studentów przygotowano poza Nép Stadionem jeszcze stadiony Dozsa, Kinizsi, Voros Lobog, Vasas i Csepel Vasas.

Konkurencje pływackie i piłka wodna odbędą się na synnej, osmiolowej pływalni Margitsiget (Wyspa Margorazy), zaopatrywanej w wodę z gorących budapeszteńskich źródeł. Na Wyspie Margorazy — w tym raju sportowców (znajduje się 20 boisk piłkarskich oraz 10 kortów tenisowych), przeprowadzone będą także rozgrywki tenisowe na Dozsa-tenis-telep.

W pobliżu Nép Stadionu, po jego zachodniej stronie, widnieje szara sylwetka hali Sportcsarnok — tu walczyć będą tenisistki siatki, a kilkadziesiąt me-



Ogólny widok Nép Stadionu podczas meczu Węgry—Anglia

trów dalej — na torze Millionaria — kolarze torow.

W hall sportowej fabryki Csepel startować będą akademicy zespasy (w stylach klasycznym i wolnym) oraz ci żarowcy. Na stadionie Csepel rozegrane zostaną turnieje siatkówki i koszykówki w konkurencji kobiet i mężczyzn. Szermierze spotkają się w hall Honvedu, a

gimnastycy prawdopodobnie w hall Sportcsarnok. Wreszcie 150-kilometrowy kolarski wyścig szosowy przeprowadzony zostanie na autostradzie Budapeszt — Janos (trasa prowadzi przez spore wzlesienia).

Kiedy rozmawiałem na temat przygotowania do Igrzysk z członkiem Międzynarodowego Komitetu Organizacyjnego, Istvanem Kutaszem (kierownikiem wydziału szkolenia OTSB), zapewnił mnie, że ludność Budapesztu uczyni wszystko, aby uprzyjemnić pobyt na Węgrzech sportowcom-akademikom z całego świata.

Przygotowujemy dla wszystkich zagranicznych ekip specjalne boiska treningowe. Goście rozmieszczani zostaną w wygodnych kwaterach i zapewniemy im zostanie szybki transport, tak do miejsc treningowych, jak i na teren

najchętniej w sekcjach: turystyki, pływackiej, gimnastycznej, żeglarskiej.

Tylko nieliczni odpowiedzieli negatywnie, usprawiedliwiając się bądź poważnym wiekiem i słabym zdrowiem, bądź też brakiem czasu.

— Jak trenują członkowie kolo, jaka jest ich przynależność zrzeszeniowa?

— Frekwencja na treningach jest duża, szczególnie siatkówki. Prawdziwym entuzjazmem dla tej dziedziny sportu wyróżnia się mgr inż. Pietrzykowski z Instytutu Problemów Techniki. To samo trzeba powiedzieć o magistrach Wolskim i Dąbrowskim z Zakładu Ekologii i wicedyrektorze administracyjnym PAN Kruczkowskim. Sprzęt dostajemy z AZS, bo gdzieś my, dawni studenci, mielibyśmy należeć jak nie do AZS?

Osiągnięcia sportowców PAN, mimo krótkiego okresu istnienia kolo, są bezsporne, a ich działalność cechuje troska o włączenie do sportu wszystkich pozostałych pracowników tej instytucji. — Nasze kolo — jak nam dumnie oświadczyli — będzie miało wkrótce najlepsze warunki treningowe w kraju. Stanie się to wtedy, gdy Polska Akademia Nauk przeniesie się do Pałacu Kultury i Nauki, gdzie część pomieszczeń przeznaczonych dla sportu będzie jednym z najwspanialszych ośrodków w Polsce.

A. Z.

startu. Nie wątpliwy, że również koledzy z Polski będą zadowoleni z pobytu na Węgrzech. Zrobimy wszystko, co tylko będzie można, aby XII Letnie Akademickie Mistrzostwa Świata zorganizować jak najlepiej.

Międzynarodowy Komitet Organizacyjny Mistrzostw zapożyczył z ostatniego zianem przygotowań zarówno stolicy Węgier do Igrzysk, jak też przyjaźni sprawozdania już od 15 państw z przygotowań na terenie ich krajów. W Igrzyskach weźmie udział prawie 400 sportowców węgierskich, należących do czołowej wyczynowej swego, niezwykle usportowionego kraju (pamiętamy, że na ostatnim Olimpiadzie w Helsinkach Węgry zajęły w klasyfikacji zespołowej trzecie miejsce za Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi).

Liczny udział w Igrzyskach zapowiadają studenci ZSRR, Akademicy Indonezyjskiej przyjadą również do Budapesztu, choć — jak piszą w przesłanym do Komitetu Organizacyjnego liście — mają w swym kraju poważne kłopoty z odpowiednim przygotowaniem się do Mistrzostw.

XII Letnie Akademickie Mistrzostwa Świata są organizowane według zasad olimpijskich i zaproszenia do wzięcia w nich udziału wysłano do wszystkich bez wyjątku państw świata.

Tekst przysięgi, którą złożą podczas uroczystości otwarcia na Nép Stadionie wszyscy uczestnicy, brzmi:

„Przyrzekamy, że biorąc udział w XII Letnich Akademickich Mistrzostwach Świata przestrzegać będziemy regulaminu zawodów, że będziemy prowadzić sportową rywalizację w duchu powszechnego braterstwa, walczyć o honor swego kraju i swej uczelni, dla wzmocnienia więzów przyjaźni między studentami”.

Trzydziest lat temu Francuz Jean Petitjean, członek Francuskiego Komitetu Olimpijskiego, wystąpił z inicjatywą organizacji światowych sportowych Igrzysk akademickich. Nie wszyscy pamiętają zapewne, że pierwsze Akademickie Letnie Mistrzostwa Świata odbyły się w 1924 r. w Warszawie. Ostatnie — XI Mistrzostwa w roku 1951 w Berlinie — zgrupowały przeszło 2000 sportowców-akademików z 42 krajów. Zbliżając się Igrzyska w Budapeszcie będą dalym ogniwem zbratania sportowców-studentów z całego świata, wspólnie walczących o pokój.

JERZY JABRZEŃSKI

PRZED EGZAMINEM



Dlaczego on nie strzela?!

— Nie widzisz? — że w bramce stoi asystent, u którego jutro zdaże.

Któregoś dnia w drzwiach mojego mieszkania stanęła 17 — 18-letnia dziewczyna, której twarz wydawała mi się znajoma.

— Czy pan pisze do studenckiej gazety?...

Dziewczyna była zarumieniona po uszy i uroczą. Toteż odpowiedziałem:

— Mogę pisać.

— Broń Boże — krzyknęła — niech pan tego nie robi. Byłem zaskoczony i trochę oszołomiony nie-takim gościem. Po chwili dodała:

— Pan mnie źle rozumie. Może pan pisać, bo ja i tak nie czytam, ale chodzi mi o to, by pan nie napisał o mnie. A w ogóle przyszedłem w innej sprawie. Chciałem się pana poradzić co do wyboru kierunku studiów. Pan był kiedyś u nas i mama mi mówiła, że pan pisze do studenckiej gazety i na pewno się na tym zna. W tym roku zdaję maturę.

Narazając się w każdej chwili, że nadejdzie moja dziewczyna i zastanie mnie z inną — a może nie u-wierzyć, że cel wizyty jest całkiem niewinny (Patrz „Bajkę o ślicznej zielonej żabce”) zaprosiłem ją do pokoju. Zapytałem o zamilowania.

O to właśnie chodzi, że nie mam zamilowania. I widząc moje zdziwienie dodała pospiesznie: — Nie mogę powiedzieć żebym całkiem nie miała, ale mam ich za dużo. I tu bym chciała pójść i tam bym chciała pójść...

— Ja nigdy nie pan... wiecie kolego — poprawiła się, siadając wygodnie i zabierając się do dłuższej pogawędki — nie mogę się na nie zdecydować, a ze studiami to już całkiem... Gdyby tak można było po kolei spróbować wszystkich specjalności... Być architektem, geologiem, malarzem, inżynierem... Mnie się podoba taka kobieta-inżynier. Wyobrażam ją sobie zawsze w sportowym gładkim kostiumie z krótko ostrzyżonymi włosami. Mnie do twarzy jest we wszystkim spor-

EDMUND GONCZARSKI

W czym sęk?



towym. Kobieta-inżynier taka jest surowa i na wszystkim się zna. O wiele lepiej, niż stary majstrowie. Ja raz przeczytałam w jednej współczesnej książce o kobiecie-inżynierze, o której wszyscy myśleli, że się na niczym nie zna i nie chciała jej dowiedzieć, a okazało się, że ona właśnie najlepiej się zna i wszystkim starym specjalistom nosa utarła. Gdy przeczytałam to, przez tydzień chciałem być inżynierem, niczym innym...

— To bardzo piękny zawód — usiłowałem wtącić — i bardzo potrzebny.

— Kolega ma rację. Ale czy on jeden jest taki? Czy nie ma równie pięknych?

Nie mogłem jej nie przyznać słuszności.

— Z tego, że nie mogłam na nic się zdecydować powiedziałam sobie, że na złość pójde... Zatrzymała się.

— Niech pan zgadnie.

— Na medycynę — usiłowałem odgadnąć.

— Czy kolega naprawdę sądzi, że powinien pójść na medycynę?

— Nie mam jeszcze ostatecznej pewności, ale jak się nie można zdecydować, najlepiej iść na medycynę. Tak niestety robią niekiedy...

O medycynie też myślałam, ale wtedy po politechnice postanowiłam pójść na historię sztuki. Moja siostra ma dwie koleżanki na historii sztuki, więc poszłam do nich, żeby się upewnić ostatecznie, a mnie mówiła, że im na studiach, owszem, powodzi się dobrze, ale po studiach wcale się nie powodzi... Rozumie chyba kolega, że w tych warunkach historia sztuki wysiada. Zresztą ojciec powiedział, że choć łatwa sztuka — to kiepska historia z tą historią sztuki. I on się nie zgadza. Wszystkiemu tylko nie historia sztuki. Ciotka z kolei powiedziała nie tylko stomatologia (bo trzeba praktycznie)... I jak się w takich warunkach zdecydować, chyba kolega sam rozumie. Żeby chociaż w domu przedyskutowali ze sobą, uzgodnili stanowisko i mnie by było łatwiej! A tak, każdy mówi co innego!

— Mój starszek (ojciec) mówi, że mnie jest za dobrze, za łatwo mi się wszystko dostaje, i dlatego mi się tak oczy rozbiegają... Że w jego czasach... Zresztą kolega zna tę śpiwkę. Mnie takie gadanie najbardziej irytuje. Bo mnie wcale nie jest tak dobrze. Ja ojcui nie o wszystkich rzeczach mogę mówić. Np. jak Władek wczoraj na Zosię spojrzął, to myślałam... Urwała nagle. Zresztą ja kolede nie powiem, bo kolega będzie się ze mnie śmiał.

Chciał zapewnić, że uszczęśliwi, że nigdy w świecie bym się nie śmiała śmiać — nie chciała jednak dokończyć historii z Władkiem i

wróciła do zasadniczego wątku rozmowy.

Niby dużo jest tych uczelni, tych kierunków studiów, a właściwie, jak się tak zastanowić dobrze, to nie ma z czego wybierać. Na każdym wydziale jest jakiś sęk. Np. na Politechnice — matematyka; na prawie — ustaw trzeba się uczyć na pamięć. I jeszcze co pewien czas nowe ustawy wychodzą i tych też trzeba się uczyć na pamięć; pedagogika owszem — ciekawa, ale potem trzeba zostać belfrem. O nie, dziękuję... Niektóre moje koleżanki idą na uczelnie rolnicze, to nawet brzmi romantycznie — zboże, krowy, traktory — poza tym to potrzebne. Ale to wszystko tylko pozornie wygląda tak pięknie... bo potem każda jechać na wieś.

— Trzeba w mieście zaprowadzić zboże, krowy i wszystko pozostałe — usiłowałem ją podtrzymać.

Kolega sobie ze mnie żartuje, a ja sama nie wiem co mam robić. Już chciałam pójść na medycynę. Od nas wiele chce iść na medycynę. Jeszcze nie wiadomo czy się dostanę, ale wiadomo że chcę. I niekoniecznie z zamiłowaniem, chociaż tacy też są na pewno. Ale wiele kieruje się na medycynę dlatego tylko, że tam du-



ilustr. JERZY KARCZ

zo idzie, więc oni też. Taki owczy pęd. Ja bym może też poszła, ale słyszałam, że młodych lekarzy kieruje się po studiach na wieś. A jak mam jechać na wieś — to już mi wszystko jedno. Mogę być agronomem. Anatomii nie trzeba wkuwać i studia na rolniczym są krótsze. Tu się zawałają. Właśnie agronomia, albo mechanizacja rolnictwa... Całkiem coś nowego, nie wiadomo czym się to je. Nikt z mojej rodziny, ani z moich znajomych nigdy nie był agronomem. A medycyna — co innego. Lekarz — to zawsze coś. Zmyśliła się. — Może mi się uda urządzić w Warszawie, mam tu dużo znajomości, jeśli się tak wszyscy pchają na tę medycynę — to jednak coś w tym musi być. Wstała. — Już zdecydowałam, idę na medycynę.

— A po co właściwie koleżanka idzie na uczelnię?

— Jak to po co — była wyraźnie zaskoczona moim pytaniem. — Ja tak od razu nie mogę powiedzieć, musiałabym pomyśleć.

— Myślę, że warto pomyśleć.

* BAJKA O ZIELONEJ ŻABCE

Ślakała zielona żabka po mokrej jezdni. Deszcz zaczął, wicher wiał, był chłód przenikliwy. Szedł tą drogą do domu Janek Udała. Nagle słyszy drżący głosik.

— Jestem taka mała, biedna, zielona żabka. Tak mi zimno. Weź mnie ze sobą!

Udała zdziwił się, że ludzkim głosem przemawia do niego ta przebrzydła żabka. Był jednak człowiekiem litosiwego serca, więc zajął mu było żaby i zabrał ją ze sobą. Gdy stanął przed jego domem, chciał ją rzucić. Wtedy znowu zaczęła go prosić:

— Jestem mała, zielona żabka, tak mi tu zimno, weź mnie ze sobą do mieszkania.

Takie paskudztwo wziąć do mieszkania? Ale był jednak człowiekiem litosiwego serca i zajął mu się zrobiło biednej, zielonej żabki. Ustąpił również, gdy mała zielona żabka poprosiła go, żeby ją pocałował, bo się w żaden sposób nie może rozgrzać. Skrzywił się co prawda. Był jednak człowiekiem litosiwego serca, a mała zielona żabka tak go błagała. Pocałował ją. I wtedy stał się cud. Mała zielona żabka przemieniła się w śliczną złotowłosą dziewczynę, która z wdzięcznością rzuciła mu się na szyję.

I oż moi drodzy. Litosiwe jego serce nie zostało nagrodzone, bo gdy żona Janka Udały wróciła, nie chciała wcale uwierzyć w bajkę o malej, biednej, zielonej żabce.

BOGUSŁAW WOJNAR

Zdrada



Latwo mu szła nauka

Więc w szkole sobie bimbał.

Teraz przyczyni szuka,

Czemu że wyrósł cymbał.

Bo przecież już w młodości

(Tak zwierzał się kolegom)

Zdradzał wielkie zdolności...

A teraz one jego.

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”.
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul. Wiejska 17/1. Telefon: red. 0-22-841 24. Centrum 832 91.
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym miejscu zamieszkania lub PPK Rich. Koda PKO nr 18003 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następnym. Miesięczna zł 1,40 kwartalnie 4,20 półrocznie 8,40 rocznie 16,80.
Administracja: RSW „Prasa” III Delegatura Warszawa ul. Marszałkowska 8 tel. 807 11.
Drukarnia: RSW „Prasa” Warszawa, Marszałkowska 3/5.
5-B-15768

po krzywy